

Pod Honorowym Patronatem
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
i Prezydenta Miasta Rybnika

PIERWEJ MROK DZIEŃ ZAGASI...

Publikacja z okazji XL Rybnickich Dni Literatury



Redakcja: *Zbigniew Kadłubek*

Zdjęcia na okładce: *Krzysztof Sitek*

Zdjęcia wewnątrz: *archiwum RCK*

Rybnik 2009

Partner:



Rybnik, Plac Wolności 13



Rybnik. Miasto z ikrą.



**GAZETA
RYBNICKA**
NIEMIECZANIE I POLSKIE WYDZIAŁY KULTURY

patroni medialni:



Zakup systemu nagłośnieniowego dla Rybnickiego Centrum Kultury
„Zrealizowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego”

Spis treści

<i>Wprowadzenie</i> (A. Świerczyna)	4
<i>Rybnik romantyczny, Rybnik literacki</i> (Z. Kadłubek)	7
<i>Wywiad ze Stanisławem Krawczykiem</i>	11
<i>Wiersze</i> (Z. Jankowski)	13
<i>Wywiad z red. Aleksandrą Klich</i>	17
<i>Być obecnym: literatura – Rybnik – uniwersytet</i> (T. Sławek)	21
<i>O przestrzeni znaczącej, rodzajach półmroku i tabace Pani Anastazji</i> (R. Borchulski)	33
<i>Zestawienie bibliograficzne publikacji dotyczących Rybnickich Dni Literatury (oprac. M. Achtelek, M. Kowalewska-Osada)</i>	45

Wprowadzenie

Rybnickie Dni Literatury to jedno z najstarszych wydarzeń literackich w Polsce. Zostały zapoczątkowane w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia na uprzemysłowionej ziemi rybnickiej. Ziemia rybnicka, podobnie jak cały Górny Śląsk, już wtedy mogła poszczycić się prężnie działającym amatorskim ruchem artystycznym. W okresie powojennym w miastach, miasteczkach, a nawet we wioskach powstawały zespoły chóralskie, taneczne i teatralne. Wiele z nich tuż po II wojnie światowej kontynuowało swe przedwojenne tradycje, sięgające nawet roku 1912. Zapotrzebowanie na dobrą kulturale wśród mieszkańców naszego regionu było bardzo wielkie. Za rozwojem przemysłu bowiem, niestety, nie nadążał rozwój infrastruktury kulturalnej. Z biegiem czasu, z początkiem lat sześćdziesiątych na ziemi rybnickiej zaczęły powstawać domy kultury, kluby i świetlice, które posiadały zdecydowanie lepsze warunki dla tworzenia i upowszechniania kultury, niż te sprzed II wojny światowej i okresu powojennego. Nie bez znaczenia był także mecenat, jaki nad ośrodkami kultury rozciągał lokalny przemysł. Organizatorami życia kulturalnego w owym czasie byli często ludzie bez kierunkowego wykształcenia zawodowego, jednak byli to ludzie obdarzeni talentem i pasją tworzenia oraz zmysłem organizatorskim.

W takich oto warunkach, nie pozbawionych również wszechobecnej cenzury, tak charakterystycznej dla minionego ustroju, na początku lat sześćdziesiątych powstały Rybnickie Dni Poezji w Klubie „Kontakty” przy Rybnickiej Fabryce Maszyn. To pierwsza tego rodzaju inicjatywa, która wykraczała poza dotychczasową ofertę kulturalną miasta Rybnika i całej ziemi rybnickiej, oferta dająca miejscowym poetom większe możliwości zaprezentowania swego dorobku, wymiany myśli, doświadczeń i wspólnej pracy nad warsztatem.

Rybnickie Dni Poezji wkrótce zostały przemianowane na Rybnickie Dni Literatury, by poszerzyć ofertę o pozostałe gatunki literackie. Organizatorzy nie ograniczali się wyłącznie do prezentacji rodzimych twórców, wśród których nie brakowało też znakomitych interpretatorów i muzyków, tworzących oprawę artystyczną dla wydarzeń. Nie ograniczali też zasięgu corocznej imprezy do kręgów klubowych, lecz z roku na rok rozszerzali jej oddziaływanie na całe miasto i powiat rybnicki, a nawet wodziławski. Już w pierwszych edycjach Rybnickie Dni Literatury gościły wielu znanych literatów z wielu miast Polski. Spotkania literackie odbywały się w bibliotekach, klubach, szkołach, a towarzyszyły im liczne kiermasze książki. Trzeba tu podkreślić, że były to czasy, kiedy trudno było nabyć dobrą książkę, zaś okazją po temu były wówczas słynne kiermasze książki, na których bardzo chętnie pojawiali się autorzy prezentowanych publikacji.

W archiwach Teatru Ziemi Rybnickiej i TVP Katowice nie brakuje zdjęć i filmów z uroczystych otwarć Rybnickich Dni Literatury na rybnickim rynku z udziałem młodzieży i ludzi pracy manifestujących sojusz obywateli miasta z ludźmi pióra w atmosferze obowiązującej wówczas politycznej poprawności. Te właśnie przesłanki polityczne były powodem późniejszej ośmioletniej przerwy w organizowaniu Rybnickich Dni Literatury. Po 25. edycji przez kilka kolejnych lat do Rybnika zapraszani byli wyłącznie literaci z wybranych regionów Polski: Pomorza, Dolnego Śląska, Małopolski, Mazowsza. Była to decyzja ówczesnych władz miasta, mająca na celu pozbawienie większości stałych gości-literatów możliwości corocznego przyjazdu na spotkania

literackie do naszego miasta. Pomysł ten spełnił swe zadanie, lecz doprowadził do zubożenia oferty literackiej i jednocześnie obniżenia poziomu Rybnickich Dni Literatury.

Należy także dodać, że na przestrzeni 26. edycji w przygotowanie i realizację imprezy zaangażowanych było wiele osób tworzących tzw. komitet organizacyjny. Zaangażowani byli dyrektorzy rybnickich placówek kultury, społecznicy oraz osoby z różnych branż, bez pomocy których realizacja tak dużego przedsięwzięcia byłaby niemożliwa. Podczas każdej edycji odbywało się kilkadziesiąt spotkań literackich – w większości na terenie szkół. Niezależnie od tego na scenie Teatru Ziemi Rybnickiej i w sali kameralnej odbywały się spektakle teatralne i koncerty. Rybnickie Dni Literatury stały się sztandarowym wydarzeniem kulturalnym w Rybniku i w regionie.

Od 36. edycji organizatorzy postanowili organizować spotkania literackie wyłącznie w miejskich instytucjach kultury w celu stworzenia twórczej i odświeżonej atmosfery. W 2008 roku Rybnickie Centrum Kultury włączyło do organizacji Rybnickich Dni Literatury Ośrodek Dydaktyczny Uniwersytetu Śląskiego w Rybniku. Już po pierwszym roku współpracy okazało się, że te dwie instytucje potrafią z powodzeniem zmierzyć się z nietatnym zadaniem w czasach, które nie sprzyjają elitarnym wydarzeniom kulturalnym. Do grona słuchaczy dołączyła młodzież akademicka, a wśród prelegentów nie zabrakło znawców literatury współczesnej, krytyków literackich i tłumaczy. Od wielu lat organizatorzy Rybnickich Dni Literatury poszukują wciąż nowych form dla rybnickiego święta literatury, by zachęcać mieszkańców miasta i regionu do spotkań z poczytnymi autorami, tłumaczami, esejistami, dziennikarzami, ludźmi pióra.

Współczesne możliwości przekazu, a w szczególności Internet, zachęcają do innego sposobu pozyskiwania wiedzy, często w sposób wybiórczy i pobieżny. Mam nadzieję, że nasza Jubileuszowa edycja i kolejne Rybnickie Dni Literatury przyniosą nowy powiew inspiracji, które nie pozwolą na to, aby to zapoczątkowane blisko pół wieku temu wydarzenie literacko-artystyczne było znane wyłącznie z nazwy i ze słyszenia, lecz z autopsji, z autentycznego spotkania ludzi, którzy w dzisiejszych ciekawych czasach mają sobie coraz więcej do powiedzenia.

Adam Świerczyńska

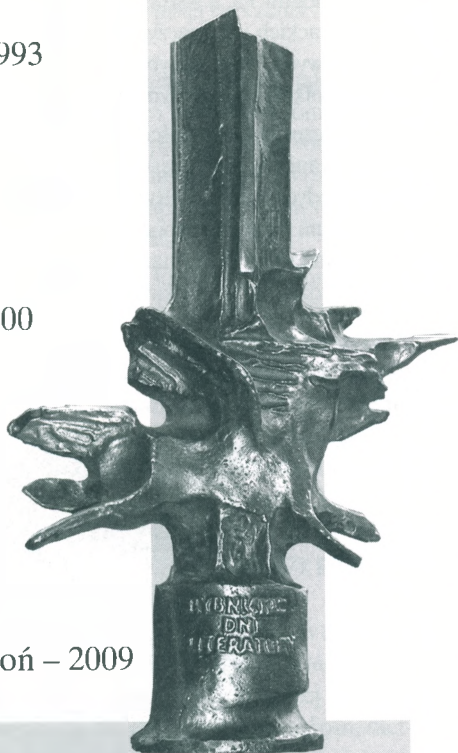
Dyrektor Rybnickiego Centrum Kultury



Kiermasz książek – Rybnickie Dni Literatury, koniec lat sześćdziesiątych.

Laureaci Honorowej Złotej Lampki Górniczej

dr Innocenty Libura – 1985
prof. Karol Szafranek – 1986
Lidia Grychtołówna – 1987
Helena Sakowska – 1988
dr Józef Musioł – 1989
Janina Podlódowska – 1990
Henryk Mikołaj Górecki – 1991
Czesław Gawlik – 1992
Barbara i Marian Rakowie – 1993
Zbigniew Jankowski – 1994
Stanisław Krawczyk 1995
Piotr Paleczny – 1996
Renata Hupka – 1997
Adam Makowicz – 1998
Tadeusz Kijonka – 1999
Mirosław Jacek Błaszczuk – 2000
Franciszek Pieczka – 2001
Wojciech Bronowski – 2002
Leon Mielimąka – 2003
Zygmunt Brachmański – 2004
Czesław Freund – 2005
Krzysztof Popek – 2006
Marek Szołtysek – 2007
ks. prof. Jerzy Szymik – 2008
ks. arcybiskup dr Damian Zimoń – 2009



Rybnik romantyczny, Rybnik literacki

Energia jest radością.

William Blake

Romantyzm jest wielkim nurtem, nurtem płodnym i zapładniającym, niesie potężne fale inspiracji także dzisiejszej literaturze, a literatura jest ważna, choć wygląda na dziedzinę przypisaną próżniakom. I choć wychodzę – bardziej nie chcąc, niżli chcąc – z literaturą daleko od literatury, uważam że literatura – jako dyscyplina próżniacza, niepotrzebna, jako doskonałe ziszczenie się marzenia o dziedzinie ludzkiej o charakterze supernieprzydatności i naturze „antyzasosowawczej”, „niewdrożeniowej” pod każdym względem – w drugiej dekadzie XXI będzie najważniejsza. To, oczywiście, jest również przejaw mego romantyzmu, warto od razu dodać na marginesie.

Słowo bowiem zmienia człowieka – czasem uzdrawia relacje, czasem niesie istotną siłę odmładzającą świat, zawsze – jak chciał Italo Calvino – chroni przed zepsutym językiem, „zadżumionym językiem” reklam i polityki. Słowo ma ustawicznie antykrzysowe działanie. Ale owa metafizyka słowa ma charakter romantyczny znowu – jest romantycznością słowa i to wcale nie musi być jakaś zwiewna kategoria.

Romantyczności nie należy przeciwstawiać racjonalizmowi i „naukowości”. Romantyzm jest raczej „szczególną formą racjonalności”, jak pisze Agata Bielik-Robson. Romantyzm jest afirmacją spotkania z przygodą. Utarte – a przez to właśnie nieatrakcyjne, wyniesione przez nas najczęściej ze szkoły średniej – rozumienie romantyzmu zmierza do ostrego skonstrastowania dzikiej, buńczucznej, nieokiełznanej romantyczności ze „szkiełkiem i okiem” oświeceniowca, badacza o zimnym sercu. Romantyczność atoli to właśnie dość wyważona (mimo wszystko!) postawa wobec rzeczywistości – romantyzm nie działa anty-oświeceniowo, przeciwko rozumowi, lecz w imię tkanki życia spojonej z cudną bujnością sił wzrastania. Powołując się raz jeszcze na ustalenia Agaty Bielik-Robson z jej książki pt. *Romantyzm. Niedokończony projekt. Eseje* (Kraków 2008), trzeba podkreślić, iż romantyzm jest projektem niedokończonym, nie kończącym się, czyli trwającym w jakiś sposób – a przez to żywo obecnym w wielu epokach i w różnych dyscyplinach sztuki, widocznym w wielu kulturach. Romantyzm jest wartościowym nurtem estetyczno-filozoficzno-literackim, którego nie powinno się zbyt pochopnie wiązać z (może niesłusznie nie lubianymi) lekturami Mickiewicza i Słowackiego. Romantyzm byłby przeto płodny i zapładniający, jak już rzekłem, wnosi bowiem potężne inspiracje do dzisiejszej literatury – i w ogóle sztuki. Dlatego nie tylko ze względu na podwójną rocznicę związaną z Juliuszem Słowackim warto podejmować temat romantyzmu. Warto w rybnickiej przestrzeni literackiej również podjąć temat romantyzmu.

Niemiecki romantyk, choć często niewymieniany wśród romantyków, Friedrich Hölderlin, w liście do swego przyjaciela Christiana Ludwiga Neuffera z 12 listopada 1798 roku pisze, że „boi się przeziębic to ciepłe życie w sobie pośród lodowatej historii dnia (*an der eiskalten Geschichte des Tags*)”. I dalej powiada, że jest „bardziej podatny na bycie zniszczonym (*zerstörbarer*), niżli inni ludzie”. Wtedy Hölderlin, Hölderlin w Bad Homburgu był jeszcze w dobrym stanie ducha, ale odczuwał już parcie sił niszczycielskich świata, który ma daleko inne preferencje niż dobro i miłość. Nie chodzi tutaj o historię wrażliwca, który nie radzi sobie ze światem. O, bynajmniej nie! Hölderlin był przecież człowiekiem dzielnym nad wyraz. Lodowatość to świat, z którego odeszli bogowie – tak rozumiał niszczycielską siłę świata poeta. Lodowatość to świat, jaki poznał Hölderlin studiując i tłumacząc na język niemiecki Sofoklesa.

Lodowata historia dnia dotyczy przecież i nas. Lodowatość w ogóle uchodzi za zasadę dzisiejszych relacji, nowoczesnego szybkiego bycia „między”, biegu „od do”. Lodowatość, lodowata historia dnia jest efektem przyśpieszenia, które nie posiada kierunku, a w którym uczestniczymy za sprawą osiągnięć, jakich jeszcze nigdy na świecie nie było i jakich człowiek jeszcze nigdy na sobie nie próbował. Żyjemy przecież w samym środku eksperymentu na wielką skalę. Poeta romantyczny – nowoczesny i dzisiejszy poeta Hölderlin doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

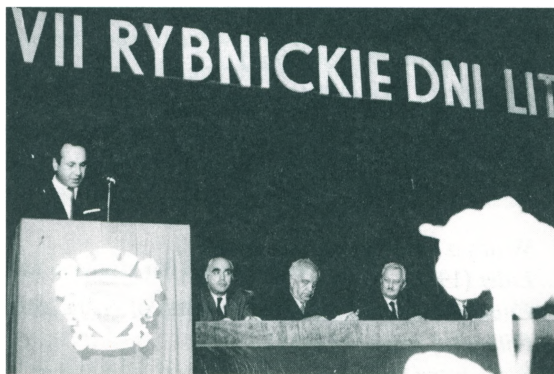
I dlatego mówię o aktualności romantyzmu. Romantyzm może tutaj być opcją, dzięki której zmagania i walka o człowieka uzyskują prawomocność duchową, nie tylko metafizyczną, artystyczną, literacką, lecz właśnie duchową i religijną. Romantyzm ustanawia dyskurs, jeśli można tak powiedzieć, który nie unika spraw duchowych, który ducha nazywa duchem. Stąd romantyzm staje się ofertą ciekawą, najbliższą rzeczywistości, w której musimy żyć.

Rybnickie Dni Literatury – jak co roku wedle świetnej już tradycji czterdziestu edycji – szeroko promują literaturę (wśród dorosłych i dzieci, wśród młodzieży szkolnej, studentów, intelektualistów, a także ludzi mniej wyrobionych literacko, którzy kupują książki); mają animować czytelnictwo wszelkiego rodzaju i kalibru, inspirować twórczość literacką w mieście, prezentować rodzimych artystów słowa, popularyzować przekłady trudniejszych pisarzy światowych, kreować lekturę elitarnie i popularnie. Poprzez spotkania z autorami, warsztaty pisarskie i interpretacyjne, konkursy literackie, wykłady, odczyty, dyskusje mieszkańcy Rybnika nie tylko zapoznają się z najnowszymi trendami w literaturze polskiej i światowej, oswajając się tym samym z dziedzictwem literackim innych kultur, lecz także sami podejmują kreatywne wyzwanie do własnej twórczości – i są to często bardzo udane wysiłki. Rybnik staje się miastem literackim. Odnajduje swą magię, zaczyna sobie zdawać z niej sprawę. Bo przecież w Rybniku jest dużo tęsknoty – wszędzie ją spotykam.

Literacki Rybnik troszczył się o poetów, gdy ich zapraszał w swe mury. Niezależnie od aury i wydźwięku politycznego: do Rybnika od dawna przybywali poeci, pisarze, artyści. Chciałem w krótkich rozbłyskach historii przybliżyć nieco formy, dyskursy, ludzi, przestrzeń, spotkania, które się wiążą z Rybnickimi Dniami Literatury. Ale od razu muszę stwierdzić, iż jest to niemożliwe. Nie tylko dlatego, że nie dysponuję pełną historyczną wiedzą na ten temat. Przeciwnie: prześledziłem sporo materiałów, przestudiowałem dawne programy imprez i wydarzeń, poddałem lekturze wiersze i teksty, które wówczas pisano i w Rybniku premiowano i promowano. Przeprowadziłem sporo rozmów.

M.in. tę miłą telefoniczną rozmowę ze Zbigniewem Jankowskim. Ale to nie wystarcza. Nie czas, by napisać historię Rybnickich Dni Literatury. Dzieje się tak z wielu powodów, których nie trzeba tu wymieniać, ponieważ materia jest nadzwyczaj delikatna i wrażliwa. Dlatego tylko krótkie spojrzenie na przeszłości fenomen, który we mnie obudził nostalgię.

Pierwszy dostępny mi drukowany materiał programowy to ten, który towarzyszył VII Rybnickim Dniom Literatury. Był rok 1968. Data mało szczęśliwa. Pierwsza strona programu prezentuje nazwiska wszystkich zawodowych literatów uczestniczących w dniach. Warto te nazwiska przytoczyć, układają się bowiem w pewien kontur ideologiczny, geograficzny, estetyczny, kontur charakterystyczny dla tamtych czasów: Wiktor Borysow (ZSRR), Włodzimierz Frołow (ZSRR), Merab Seralidze (ZSRR), Henryk Berezka (NRD), Kito Lorenc (NRD), Jurij Młynk (NRD), Aleksander Baumgarten (Katowice), Jan Dobraczyński (Warszawa), Stanisław R. Dobrowolski (Warszawa), Jan Maria Gisges (Warszawa), Ryszard Hajduk (Opole), Stanisław Horak (Katowice), Czesław Kuriata (Koszalin), Bolesław Lubosz (Katowice), Władysław Machejek (Kraków), Włodzimierz Maciąg (Kraków), Stanisława Muskat-Fleszarowa (Gdańsk), Barbara Nawrocka (Warszawa), Stefan Otwinowski (Kraków), Eugeniusz Pauksza (Poznań), Jan Pierzchała (Katowice), Janusz Przymanowski (Warszawa), Zdzisław Pietras (Katowice), Kalman Segal (Katowice), Albin Siekierski (Katowice), Wilhelm Szewczyk (Katowice), Alfred Szklarski (Katowice), Jan Sztudynger (Kraków), Leon Wantuła (Katowice), Jerzy Wawrzyczak (Katowice), Wojciech Żukrowski (Warszawa). Tyle nazwisk na pierwszej stronie folderu. Ciekawe nazwiska, ciekawi twórcy. Wielu z tych twórców na stałe mocno związanych z kulturą Górnego Śląska i z popularnymi wyobrażeniami o nim, jak np.: Wilhelm Szewczyk czy Albin Siekierski.



Obrady podczas VII Rybnickich Dni Literatury (1968 r.).

Muszę przyznać, że dla mnie egzotycznie brzmiało w tym wyżej wymienionym gronie nazwisko Kalmana Segala, choć słyszałem już dawniej o tym żydowskim pisarzu. Kalman Segal urodził się 17 grudnia 1917 r. w Sanoku, a zmarł 18 maja 1980 r. w Jerozolimie. Jego ojciec, Lejba Segal, był rolnikiem. Mówiło się, że Kalman Segal był nadto gorliwy w głoszeniu ustroju peerelowskiego („mierny, ale wierny”). Ale Segal był pisarzem dwujęzycznym, pisał w jidysz i po polsku (podobno ostatnim tej miary pisarzem piszącym w jidysz i po polsku), był także poetą i dziennikarzem radiowym, związanym z rozgłośnią katowicką. I był niewątpliwie interesującym literackim kreatorem zapomnianych przestrzeni, małych urokliwych miasteczek, swego rodzaju tropicielem geniuszów miejsc a to mi jest bliskie: duchowe odkrywanie fragmentów świata. Segalowi poświęca się coraz więcej uwagi. Ziemia sanocka jest przestrzenią wielu kultur. Oto bowiem regionalnie zaczął funkcjonować ten pisarz (to znowu bliski mi rys). Mieszkańcy Sanoka chętnie odnajdują w swym mieście

miejsca, które opisywał i uwieczniał. Dedykowano jego pamięci ławeczkę przy Rynku Głównym w Sanoku. Na Uniwersytecie Jagiellońskim prowadzi się badania nad twórczością pisarza z Sanoka, a Magdalena Ruta napisała książkę o Segalu pt. *Pomiędzy dwoma światami. O Kalmanie Segalu*. Widać więc ożywienie.

Kalman Segal wydał po polsku:

Opowiadania z zabitego miasteczka (1956)

Ziemia jest dla wszystkich (1956)

Ludzie z jamy (1957)

Nad dziwną rzeką Sambation (1957)

Rzeczy ludzkie (1958)

Ulepiony z gliny (1959)

Kij i kadzidło (1961)

Na wyspie (1961)

Miłość o zmierzchu (1962)

Morderca musi umrzeć (1963)

Dolina zielonej pszenicy (1964)

Przygoda w miasteczku (1965)

Kochankowie w Sodomie (1966)

Śmierć archiwariusza (1967)

Świat pełen racji (1967)

Skojarzeni (1968)

Dziewczyna z Sorrento (1968)

Joanna i marynarz (1969)

W jidysz natomiast Segal wydał:

Lider (1952)

Cu majn najer hejm (1953)

Friling baj majn tir (1955)

Szejd-weng (1962)

A sztetl bajm Son (1965)

Der tajwl in sztetl (1967)

Alejnkejt (1977)

Gezegeung (1979)

Wu szmeterlingn szwebn (1981)

W 1968 roku Segal wyjechał do Izraela, zamieszkał w Jerozolimie. Rybnickie Dni Literatury były prawdopodobnie jego ostatnim literackim wydarzeniem w Polsce (o ile tu wtedy przyjechał, a nie widniał tylko w programie; zakładam jednak, że odwiedził miasto między Rudą a Nacyną). Rybnik literacki więc był w jakimś sensie jego pożegnaniem. Jakimś miejscem, które zapamiętał. Nie wiem. Oto jednak chodzi: aby Rybnik był literacki, przekraczający granice światów, zapory wrogości, tamy niechęci – aby Rybnik był coraz większy i większy. ■

Wywiad ze Stanisławem Krawczykiem

poetą, eseistą, uczestnikiem dawniejszych
edycji Rybnickich Dni Literatury

Rozmawia Zbigniew Kadłubek

Zbigniew Kadłubek: *Jak zapamiętałeś, Staszku, swoje zaangażowanie w Rybnickie Dni Literatury?*

Stanisław Krawczyk: Z pewnym wzruszeniem. Dobre doświadczenie. Zawiązały się przyjaźnie i trwają do dzisiaj.

Z.K.: *Czy Rybnickie Dni Literatury kreowały jakieś trendy, kierunki, mody literackie?*

S.K.: Przyjechałem do Rybnika, kiedy Rybnickie Dni Poezji zastąpiły Rybnickie Dni Literatury. Środowisko było już zorganizowane. Klub Literacki „Kontakty” nie miał programu artystycznego w ścisłym znaczeniu. Autorzy powoływali się na autentystów, na zapis autentycznego przeżycia, życiowe doświadczenie. Krąg nie istniał w osamotnieniu, ale w ścisłej współpracy z Teatrem Poezji Wojciecha Bronowskiego, z zespołem jazzowym. Teatr był podziwiany w całym kraju przez profesjonalnych aktorów, a o rybnickim jazzie Jerzy Milian bardzo pięknie mówił po latach. Wydarzeniem literackim był z pewnością debiutancki tomik (*Moje ryżowe poletko*) Teresy Ferenc, a nim nagrodzony wiersz pt. „Poród”. Myślą przewodnią i założeniem Klubu było kontaktowanie się między sobą oraz kontakty z innym pisarzami w kraju. Pomagał w tym Tadeusz Kijonka, studiujący wtedy w Krakowie i znający wiele osobistości.

Z.K.: *Kim byli ówcześni odbiorcy? Jak oceniasz ich nastawienie?*

S. K.: Wszyscy, którym było po drodze, a były to tysiące. Księgarnie sprzedawały ponad tysiąc tomików wierszy.

Z.K.: *Jaka atmosfera towarzyszyła Rybnickim Dniom Literatury – czy rzeczywistość PRLu stanowiła duże obciążenie?*

S. K.: Atmosfera po 56 roku sprzyjała takim imprezom. Na Śląsku było to wyjątkowe wydarzenie, a „Kontakty” należały do jednego z trzech klubów literackich. W Katowicach działał „Krąg” należący do PAX-u, w Bytomiu „Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza”. Mniejszy zasięg, mniejsze oddziaływanie. Do Rybnika zjeżdżali najwięksi z Julianem Przybosiem, Mieczysławem Jastrunem, Zbigniewem Bieńkowskim na czele. Bywali także redaktorzy „Współczesności”, bardzo wpływowego w świecie literatury.

Rybnickie Dni Literatury to nie tylko miasto, ale duży powiat, obszar od Jastrzębia do Knurowa. Wsie, miasteczka, kopalnie, fabryki, domy kultury, szkoły. Elitaryzm czy egalitaryzm?

Ograniczenia? Tak. Wszyscy znali działanie cenzury i aparatu, ale bez przesady. Była poranna kawa i nocne rozmowy. Były wyznania i uniki. Dowodem na to niech

będzie fakt, że przez dziewięć lat Rybnickich Dni Literatury nie było na afiszu.

Z.K.: *Czy ma sens organizowanie takich – jak by nie było elitarnych – wydarzeń jak Rybnickie Dni Literatury?*

S.K.: Elitarnych? Przed nikim organizatorzy drzwi nie zamykają. Takiej wielkości jak w latach siedemdziesiątych Rybnickie Dni Literatury już mieć nie będą. Powiat jest mniejszy, a w samym mieście działa kilka podmiotów, które mają swoje propozycje kulturalne. Nie znaczy to, że należy zaprzestać poszukiwań nowych form i nowych możliwości. Nie wszystko można przeliczać zgodnie z regułami rynku i statystyki. Masowe imprezy powinien organizować miejscowy biznes, agencje, organizacje ekologiczne, parafie itp.

Z.K.: *Czym jest dla Ciebie literatura/poezja?*

S.K.: Rozmowę z niewiadomą o dzieleniu się świata i scalaniu. Odbiciem głosu, widzeniem małych rzeczy dnia codziennego.

Z.K.: *Czy literatura pomaga żyć – a może we wszystkim przeszkadza?*

S.K.: Na pewno nie przeszkadza. Słyszę, że jest nie do zniesienia, że wystarczą obrazki, że słowo należy zdeptać, zmiażdżyć na pył. Proszę bardzo, ale wierzę, że z tego pyłu zmartwychwstanie, bo słowo to człowiek, a zdanie to społeczność.

Z.K.: *Bardzo dziękuję, drogi Staszku, za rozmowę!* ■

WIERSE

DZIEŃ CIAŁA MEGO

On nam zapoczątkował drogę nową i żywą,
przez zastonę, to jest przez ciało swoje.

Hbr 10, 20

Dzisiaj o świetle
wstawałem jak z grobu.
Kościec silił się do pionu,
a mięśnie, każdy z osobna,
rwały się z powrotem.
Tak jeszcze nie bolało
ciężenie ziemi.
Jakbym był drzewem,
które wyrывa swe korzenie,
choć jak ono chciałem tylko
dojść do światła,
odsłonić okno, aby raz jeszcze
przyoblec się w blask.

Pomyślałem: Mój Boże,
przecież robię to bezwiednie
każdego dnia.

I usłyszałem w sobie: No właśnie,
każdy twój dzień, każdy świt
miał być takim
odgłębny aktem
z grobu wstania. Pierwszym i jedynym
zbawieniem świata.

Bo ocaleję, co rozjaśnisz
„za dni ciała swego”.
A twoje ciało
przez tyle lat
nie powstawało z martwych
nocy, nie otwierało okna
z lawiną światła,
na oślep biegło
do szkoły, do pracy, padało
z nóg w to swoje
zapadlisko, z którego

nareszcie się dźwigasz
mój życiowy niedołęgo.

Z PRZYGÓD JONASZA

Na szczęście
było się czego złapać.
Uchwyciłem się fali,
a ona
wdrapała się wysoko.

Wracalem olśniony słońcem
do żywego dna,
do pierwszej modlitwy
powtarzanej po matce.

Teraz
jej niebieski różaniec
spływa z moich rąk,
jakby mnie morze
wychlusnęło na brzeg,
jakbym swe szczęście
rozmodlić miał w drugih

GDY TO PISZĘ

Gdy to piszę,
na wiecznym piórze
umiera moja ręka,
z pióra
na kartkę
osypuje się biały proch.

Zaraz dmuchnie czas.

DOM WIERSZA

Gdy w moim pokoju
zaczyna się wiersz,
jest szeroko otwarte okno,
jakby mnie już nie było,
jakby przed chwilą
wyniesiono stąd ciało
z moim nareszcie ostatnim ja.
Tylko zeszyt otwarty

jak kondolencyjna księga
czeka na boską rękę.

Ale Bóg wciąż od nowa
wyczuwa pułapkę
i wpisuje się martwą bielą
pomiędzy słowami.
Wciąż nie dowierza
mojemu odejściu.

Zawstydzony,
budzę się z kłamstwa:
To moja ręka nad kartką,
to ja się wpisałem
jeszcze jednym
łapczywym wierszem. Raz jeszcze
sam siebie złapałem za rękę.
On znowu się wymknął,
zostawił mi krzesło, zeszyt
i trochę czasu.

Wtedy proszę:
Tylko powróć tu jeszcze,
rzuć mi przez ramię
choć jedno mgnienie
Twego oka.

*Wiersze wybrano i przedrukowano za zgodą Autora z tomu
pt. „Przyptyw. Jednanie” (Gdańsk 2009).*

Zbigniew Jankowski urodził się w 1931 r. w Bydgoszczy. Studia polonistyczne ukończył w Katowicach. Mieszkał w wielu miastach, m.in. w Pile, Rybniku, Wrocławiu, a w l. 1965–1971 w Kołobrzegu, gdzie pracował w przedsiębiorstwie połowowym „Barka”. Odbывał bałtyckie rejsy rybackie oraz rejsy oceaniczne (Atlantyk, Pacyfik). Od 1975 r. mieszka w Sopocie. W l. 1979–1996 był aktywnie związany z Duszpasterstwem Akademickim oraz Duszpasterstwem Środowisk Twórczych w Gdańsku. Jako poeta debiutował w 1956 r. Wiersze Zbigniewa Jankowskiego ukazały się w kilkudziesięciu antologiach i innych publikacjach zbiorowych w kraju i zagranicą (m.in. w Niemczech, Szwecji, Rumunii, Grecji, Anglii, Czechosłowacji). Poeta jest laureatem wielu nagród literackich, m.in. honorowej nagrody „Gdańska Książka Roku 1978”, nagrody dwudziestolecia Czerwonej Róży (Koga Gdańska), nagród poetyckich im. Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, im. św. Brata Alberta oraz im. Włodzimierza Pietrzaka. Zbigniew Jankowski jest członkiem PEN Clubu i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Należy do pierwszych pomysłodawców Rybnickich Dni Literatury. ■

Wywiad z red. Aleksandrą Klich

publicystką, eseistką, autorką biografii, a także felietonów o Śląsku

Rozmawia Zbigniew Kadłubek

Zbigniew Kadłubek: *Czy literatura ma istotnie elitarny charakter? Jak to rozumieć? Czy swoje eseje, felietony kierujesz do elity? Piszesz elitarnie?*

Aleksandra Klich: Oczywiście, że piszę dla elity, bo wszyscy, którzy dziś cokolwiek czytają, to elita. To cudowne uczucie – należeć do tego środowiska, czuć się jego częścią. Strasznie mi to imponuje. Czasem specjalnie idę do księgarni, empiku, żeby spotkać ludzi, którzy czytają – gazety, książki, przeglądają albumy. Otrzeć się o nich. Wiesz, że oni nawet inaczej wyglądają niż ludzie spotykani np. w sklepie z ciuchami?

Z.K.: *Ma sens w związku z tym – według Ciebie – organizowanie w Rybniku Dni Literatury?*

A.K.: Boisz się, że to będzie święto elity? Ależ niech będzie! Jesteśmy – czytelnicy i autorzy – pełnoprawnymi uczestnikami życia społecznego, płacimy podatki, jak inni.

Powinniśmy mieć swoje święto, tak jak święta mają ci, którzy preferują rozrywki innego typu, np. spotykają się, żeby bić rekord w jedzeniu golonki czy obrzucaniu się arbuzami. Słuchając przy tym zespołu „Feel”.

Nie odmawiając Rybnickim Dniom Literatury prawa do istnienia, wręcz przeciwnie, mam jednak z nimi kłopot natury, powiedzmy, formalnej. Przez kilkadziesiąt lat te spotkania były w dużej mierze, obrzędowymi, peerelowskimi akademiami, sztywnymi spotkaniami, na które zaganiano całymi klasami uczniów. Wtedy to nie miało sensu, dziś – tym bardziej.

Skoro literatura jest ze swojej natury elitarna, nie warto ścigać się na ilość uczestników, raczej trzeba walczyć o jakość tych spotkań. Gorące nazwiska pisarzy, ważne tematy, starcia, spory, pojedynki na myśli – to może sprawić, że Rybnickie Dni Literatury staną się ważną imprezą. Taką, na którą warto przyjechać, nawet z daleka. Rybnik – jako miasto, które w krótkim czasie stało się ważnym ośrodkiem usługowym i edukacyjnym – powinien wzmocnić swoją pozycję, tworząc tutaj silny ośrodek kulturalny, nie oglądając się na np. Katowice czy Gliwice. Spójrz na taką Ostrawę z jej fantastycznym centrum muzycznym, promieniującym nie tylko na Morawy czy w ogóle północne Czechy, ale i na południe Polski. Rybnik, już dziś miejsce modne, z dobrym zapleczem, znakomicie położone, ma za 10, 20 lat szansę stać się intelektualną stolicą Górnego Śląska.

Może warto zmienić kojarzącą się z Peerelem nazwę Rybnickich Dni Literatury, ściągać wydawców z premierowymi książkami – jesienią zwykle pojawiają się nowe publikacje, pomyśleć o zaproszeniu gości również z zagranicy? Wykreować modę na literaturę opartą na tradycjach literackich Śląska?

Z.K.: Co Cię fascynuje najbardziej, gdy tworzysz biograficzny wywiad, wywiad-rzekę, biografię? Fascynuje Cię wnętrze życia?

A.K.: Pisanie portretów i biografii to jest wchodzenie z butami w czyjeś życie. Przeglądanie czyjejs komody z listami, zaglądanie do sypialni i gabinetu, niemal – przerzucanie bielizny. Piętrzenie pytań i z rzadka odpowiadanie na nie. Dlaczego Korfanty wolał mieszkać na Śląsku polskim niż niemieckim? Po cholerę zdolny pisarz Morcinek zaangażował się w politykę, po co mu była kompromitacja z przemianowywaniem Katowic na Stalinogród? Dlaczego Kutz został politykiem?

Ciągle się boję. Że nie sprostam bohaterowi, w którym – oczywiście! – po drodze się zakochałam. Że go skrzywdzę. Zlustruję. Albo przeciwnie – że mu odpuszczę. Ale to drażnienie jest fascynujące. To tak, jakbyś stawał się kimś innym, żył czyimś życiem, a jednocześnie miał do tego życia dystans. Bo to jednak nie jest twoje życie.

Przy pisaniu biografii Kutza towarzyszył mi jeszcze inny rodzaj niepokoju: lęk o to, jak zareaguje bohater, który nie wie, że ktoś pisze książkę o nim. Cały czas powtarzałam sobie, że Kutz jest odważny i doceni determinację, z jaką poddałam go wiwisekcji. Już po wydrukowaniu książki okazało się, że miałam rację: zniósł swoją „niepokorną” biografię i nie podał do sądu biografki...

Z.K.: Jakie książki czytasz najchętniej? Masz ukochanych autorów?

A.K.: Czytam dużo, ze 100 stron na godzinę. To szybko, więc sporo informacji mi ulatuje. Ale uparcie czytam, zawsze do ostatniej kartki, nawet jeśli książka mnie nudzi albo męczy. Jak się chcę czegoś nauczyć albo sprawdzić, jak się pisze dobre biografie, to zaglądam do książek Józefa Hena i Agaty Tuszyńskiej, jak chcę przypomnieć sobie świetne reportaże, sięgam po książki Małgorzaty Szejnert, Mariusza Szczygła i Hanny Krall.

A jak chcę jednego i drugiego – biografii, która jest reportażem – biorę do czytania moją ukochaną Magdę Grochowską. Właśnie wydała znakomitą książkę o Jerzym Giedroyciu.

Teraz na bazie reportażu, który opublikowałam w „Gazecie Wyborczej”, piszę książkę o przyjaźni Karola Wojtyły i Wandy Póltawskiej, więc czytam wszystko, co napisał Papież i co napisano o nim.

Lubię wracać do wszystkich „nieoczywistych” lektur: „Dziennika duszy” Jana XXIII, „Listów do Nikodema” Józefa Życińskiego, powieści Teodora Parnickiego. Zadie Smith i Paula Austera lubię, bo czytając ich powieści o wielojęzycznym, wielokulturowym tyglu Wielkiej Brytanii czy Nowego Yorku nie mogę się opędzić od myśli, że Śląsk czeka na takich właśnie pisarzy.

Ze Ślązaków wracam do Horsta Bienka, Henryka Wańka i Twoich „Listów z Rzymu” – książki, która – chapeau bas! – jest dowodem na to, że bez jakichś specjalnych korowodów z kodyfikacjami można pisać po śląsku znakomite kawałki.

Lubię generalnie wszystkich tych pisarzy, którzy nie bawią się literaturą, przerzucają literki, wdychając, tylko takich, którym o coś chodzi. Albo o wywoływanie emocji, albo o załatwienie czegoś: swojego albo społecznego. Nie znoszę takiej

sztucznej sztuki dla sztuki, zbizbinki. Nudzi mnie, życie jest za krótkie, żeby się nią zajmować.

Z.K.: *Dlaczego zajmujesz się, jako dziennikarka, kulturalną i literacką przestrzenią Górnego Śląska?*

A.K.: Bo jest jeszcze świeża, autentyczna, nie wiem, co się z niej wyłoni. A że się coś wyłoni – tego jestem pewna.

Z.K.: *Czy Śląsk jest literacki?*

A.K.: Jeśli jako literackość rozumieć narracje, które gdzieś tkwią w Śląsku, to oczywiście tak. Te wszystkie bajdy, historie, opowieści przekształcające się powoli w mity, to jest przecież literatura.

Tyle że one się banalizują w powtarzanych na okrągło sloganach: wielokulturowość Śląska, pogranicze, odmiennność kulturowa, styk kultury wysokiej i niskiej. Gdy odważnie i buntowniczo zdrapać z tych frazesów lukier, zajrzeć pod podszewką, wywrócić ją, wtedy pojawia się literatura.

Problem w tym, że Ślązak nie ma problemu z wyrażaniem emocji w muzyce czy obrazach. Ma problem ze słowem, z nazywaniem rzeczywistości.

Z.K.: *Jakie śląskie narracje budzą Twoje największe emocje najbardziej? Narracje Kutza?*

A.K.: Nie. Świat Kutza, kolejarsko-hutniczych familoków z Szopienic, jest mi obcy. Urodziłam się na zielonym Górnym Śląsku, moi dziadkowie byli już nie górnikami z kawałkiem ziemi, ale inteligentami. Mój Śląsk to nie jest Śląsk skrzywdzony, z kompleksami – jak świat pana Kazimierza, ale Śląsk inspirujący, otwarty, trochę nawet zarozumiały. I to moja rodzina budzi we mnie największe emocje: jej nieoczywistość, zaskakujące zwroty akcji i naturalność, z jaką śląska, chłopsko-robotnicza rodzina wskoczyła na początku XX wieku w buty inteligentów.

Z.K.: *Napiszesz kiedyś coś zupełnie „niedziennikarskiego”, np. powieść?*

A.K.: Nigdy w życiu. Brakuje mi czegoś elementarnego, by stać się autorką fabuły. Nie potrafię pisać o czymś, czego nie widziałam albo o czym mi nie opowiedziano. Potrafię rekonstruować, nie wymyślać. Zresztą moim zdaniem przyszłość należy do literatury faktu.

Z.K.: *Lubisz Rybnik? Lubisz Górny Śląsk?*

A.K.: Wyjechałam z Rybnika na studia do Krakowa i wróciłam po dziesięciu latach. Teraz pracuję w Warszawie, więc żeby w poniedziałki dojechać na kolegium redakcyjne, muszę pokonać prawie 400 kilometrów. Ale trudno mi jakoś wyobrazić sobie wyprowadzkę stąd. Oswoiłam sobie ten świat, to jest moje miejsce.

Po drugie: ze Śląskiem mam kłopot. Jest mój, kocham go, ale wiele rzeczy mi w nim wadzi. Warszawy nie lubię, ale są rzeczy, które mi się w niej podobają. Dzięki temu, że pracuję w Warszawie, a mieszkam na Górnym Śląsku nie jestem do końca ani tam, ani tutaj. Pasuje mi to. ■

Być obecnym: literatura – Rybnik – uniwersytet

[...] jednym z głównych zadań edukacji w obecnej dobie jest wytworzenie form działania pedagogicznego, które sprzyjałyby życiu publicznemu i umożliwiały przełożenie kwestii prywatnych na język publicznych problemów.

Henry A. Giroux: Public Spaces, Private Lives

1.

Pierre Calame mówi o konieczności uczynienia uniwersytetu miejscem kształcenia nie tylko profesjonalisty, ale także, a może przede wszystkim – obywatela. Uniwersytet konsekwentnie nazywa *civic university*. Chodzi więc o wskrzeszenie starej tradycji powszechnej edukacji, co znajduje wyraz w metaforze przestrzennej, w retoryce architektonicznej struktury, do jakiej zwróci się Calame: „Nie myślmymy o uniwersytecie jako o klasztornych krążgankach, wśród których kształcą się młode elity, głównie wywodzące się z klasy średniej, lecz jako o miejscu otwartym dla wszystkich obywateli zabiegających o wykształcenie i informacje”. Jeszcze jedno zagadnienie kryje się w tym architektonicznym tropie: „otwartość” struktury uniwersyteckiej ma się odnosić do samego myślenia, którego nie może ograniczać tylko do wyspecjalizowanej i wyraziście odgraniczonej przestrzeni. Przeciwnie – chodzi o, powiedzmy za Karlem Jaspersem, „myślenie wymagające, pokonujące wszystkie granice, wszędzie obecne”. Aby myślenie takie mogło się pojawić nie może być „myśleniem oderwanym”. Dlatego, jak powie Jaspers, prawdziwe myślenie wycofuje się z ogólnego obszaru do „konkretnej historyczności mojego bycia obecnym”. „Otwarcie”, o którym mowa, oznacza, że kształcenie ma umożliwić człowiekowi to, by mógł zobaczyć siebie jako coś więcej, niż tylko element mniej lub bardziej sprawnie zorganizowanej maszyny politycznej gry prowadzonej w danym społeczeństwie.

2.

Wezwanie, by uniwersytet nie był „klasztornym dziedzicem” precyzuje cel i sposób działania uniwersytetu, kładąc nacisk na otwartość jego programów i bogactwo więzi mających łączyć go ze światem (jak mówi Jaspers, myślenie nie może być „niepowiązane z niczym”), ale bez wątplenia mówi nam coś także o sposobie rozumienia uniwersytetu jako „miejsca”. Z jednej strony istnieje „klasyczny” model miejsca o bardzo sprecyzowanych konturach, miejsca opatrzonego wyraźnie wyznaczoną granicą. Granice te są architektoniczne: europejska kultura zapisała w nas wyraziście obraz uniwersytetu jako pewnego szczególnego typ budowli. Odróżnia się wyniosłością, której majestatyczność łączy dostojność budowli religijnych (przypomnijmy

oksfordzkie kolegia), z łagodnie onieśmielającą wyniosłością arystokratycznych miejskich rezydencji (siedziba Uniwersytetu Warszawskiego w Pałacu Kazimierzowskim), z surową ostentacją administracji państwowej (np. gmach Uniwersytetu Łomonosowa w Moskwie). Administracyjne procedury wzmacniają świadomość uniwersytetu jako miejsca osobnego: obowiązujący do niedawna system egzaminów wstępnych wyraźnie manifestował podział na tych, których obdarza się prawem wstępu na teren uniwersytetu, i tych, którym prawo to zostaje odmówione.

3.

Z drugiej strony uniwersytet rozumiany jest inaczej: już nie jako miejsce „osobne”, ale przeciwnie – wtopione w zjawiska rzeczywistości, przenikalne dla jej uczestników. Teraz przychodzi nam znacznie trudniej znaleźć dla niego architektoniczną metaforę. Gdy nie przedstawiam go sobie już jako charakterystycznie odrębnej, opatrzonej sobie właściwym stylem budowli z właściwą dla zachodzących w niej relacji międzyludzkich specyfiką, uniwersytet jawi się paradoksalnie jako „miejsce bez miejsca”. Porzuciwszy uniwersytet utrwalony obrazem „kolegium”, „pałacu”, wyniosłego, reprezentacyjnego „gmachu” czy wręcz „klasztoru”, muszę zdać sobie sprawę z tego, że i społeczna interakcja w nim zachodząca nie będzie wyłącznie relacją typu „zwierzchnik – przełożony”, „preceptor – adept”, „klient – oferent towaru”, „urzędnik – petent”. Elektroniczno-informatyczna rewolucja dobitnie wskazuje na to, że uniwersytetu nie da się zrozumieć tylko w kategorii tradycyjnie pojmowanego „miejsca”; nauczanie na odległość jest terminem odnoszącym się nie tylko do techniki przekazywania wiedzy, ale także do tego, co przez wieki stanowiło o uniwersytecie – bliskości uczącego i ucznia. Czy specyfiką tradycyjnie rozumianego miejsca nie jest właśnie „bliskość”? Czy „miejsce” da się pogodzić z „odległością”?

4.

Może dlatego Bill Readings mówił w swej głośnej przed laty książce o „uniwersytecie w ruinie”. Ruina pozostaje w szczególnej relacji do miejsca i architektury. Wraz z ruiną ujawnia się ciężar czasu, który budowla pragnie pokonać. Kunsztowne konstrukcje chcą nade wszystko okazać się „czaso-odporne”, gdy ruina dowodzi daremności takich ambicji, przywracając nam właściwe poczucie czasu i jego oddziaływania. Georg Simmel sądził, że ruina to wynik zmagania się siły woli człowieka i bezwzględnej bezwładności praw natury. Gdy Readings pisał o „zrujnowanym” uniwersytecie, miał na myśli specyficzną sytuację, w której uniwersytet opuścił swoje tradycyjne „miejsce” i która wymaga, by nie dążył nostalgicznie do odzyskania go za wszelką cenę, lecz by skupił swe wysiłki na dążeniu do utworzenia nowej przestrzeni, nowego „miejsca”. „Zamieszkiwanie ruiny, czytamy u amerykańskiego filozofa, nie jest wyznaniem klęski, nie oznacza ani rozpacz, ani cynizmu; jest wyrazem odrzucenia wszelkiego uniżonego nastawienia wobec działania politycznego, w tym zbożnej rezygnacji z wszelkiego działania w ogóle”. Innymi słowy „ruina” jako architektoniczna metafora, którą postuluje się filozofia uniwersytetu pragnie wskazać

na sposób funkcjonowania uniwersytetu jako instytucji, w której możliwe jest otwarcie szerokich możliwości działania i stworzenie „nowych przestrzeni, co wiąże się z przełamaniem struktur blokujących myśl”.

5.

Wynikają z tego co najmniej dwie konsekwencje. Pierwsza ma charakter socjologiczno–antropologiczny i poucza, że uniwersytet to miejsce, w którym formują się relacje między ludźmi w atmosferze wolnej od unifikującej presji wszelkich ideologii czy państwa. Ta kwestia głównie interesuje Readingsa, lecz my odnotujmy ją jedynie i przyjrzyjmy się drugiemu wnioskowi o innym już charakterze. Znajdziemy tu spostrzeżenie, że mowa o przestrzeni uniwersytetu musi objąć także to, co uniwersyte-tem nie jest, to, w co uniwersytet wkroczył, co objął swoją myślą i pracą. Refleksja o przestrzeni uniwersytetu nie może zatem być skoncentrowana wyłącznie na uniwersytecie i jego sprawach; jako „miejsce”, uniwersytet musi, mówiąc metaforycznie, wystąpić ze swoich brzegów, to znaczy winien myśleć o sobie jako o instytucji, której przestrzeń powierza swoją przeszłość i przyszłość. W tym sensie uniwersytet nie znajduje się po prostu pod „danym adresem”; ma swoją siedzibę, to oczywiste, ale istotą jego działania jest wychodzenie z owego miejsca „stałego pobytu”, przedłużanie go w przeszłość i w przyszłość. **Uniwersytet jest powiernikiem miejsca.** Nawet, gdy formuła prawna mówi inaczej, uniwersytet nie opiera się na „własności” miejsca, lecz – jedynie i aż – na „wieczystej dzierżawie”. „Właściciel” dysponuje miejscem przede wszystkim wedle własnej woli; „wieczysty dzierżawca” liczy się z tym, co mu powierzono.

6.

Nasz Uniwersytet doskonale rozumie tę sytuację powiernictwa. Z wielu budynków, które zajmuje w pięciu miastach jedynie Wydział Prawa i Administracji i Teologiczny znajdują się w specjalnie zbudowanych przestrzeniach; Uniwersytet rezyduje w murach, których historii nie zapisał i której musi wysłuchać, by jego praca mogła znaleźć oparcie w szacunku do miejsca. Gdzie indziej opisaliśmy losy katowickiej części Uniwersytetu, o tym, jak gmach Rektoratu wynurza się ze znacznie starszych dziejów ulicy Bankowej i rzeki Rawy. Gdy znajdziemy się w Jastrzębiu Zdroju, gdzie Uniwersytet gościł do niedawna w budynkach byłego sanatorium (z których najstarszy, tzw. Nowe Łazienki sięga roku 1912) musimy pamiętać, że powstawała tam historia, będąca przedłużeniem losów tego miejsca przed Uniwersyteciem. Losów, które „zapoczątkowują się” (wrócimy jeszcze do tego słowa) w roku 1859, kiedy to w trakcie odwiertów geologicznych natrafiono w dobrach barona Emila von Schliebena w dolinie rzeki Szotkówki na złoża solanki. Uzdrowisko zaczyna działać od roku 1861, rok później pod oficjalną nazwą Bad Königsdorf–Jastrzemb. Rozwijało się bujnie, choć z dramatycznymi zwrotami i warszawski *Świat* mógł napisać w 1923 roku: „Zwłaszcza Jastrzęb jest ślicznie położony, posiada precudny park, urokiem przyrody przewyższa Go- czalkowice, dlatego też rocznie w każdym sezonie był przepełniony kuracjuszami...

Kierownictwo zakładu spoczywa w rękach samych właścicieli panów braci Witczaków, którzy zakład urządzili bardzo higienicznie i prowadzą go wzorowo. W roku bieżącym przystąpiono do znacznej rozbudowy zakładu i w krótkim czasie Jastrzębie bez wątpienia będzie jednym z bardzo ważnych i głośnych zakładów kąpielowych w Rzeczypospolitej Polskiej”. Samo Sanatorium ZUS mogło przyjąć jednorazowo 180 kuracjuszy, a pensjonat „Opolanka” dysponował 40 pokojami. Te losy były przez jakiś czas dziejami uniwersytetu lub może trafniej: uniwersytet był przez kilkanaście lat powiernikiem tych losów.

7.

Uniwersytet zatem to historia pewnego powiernictwa. Polega ono na tym, że jakaś przestrzeń wraz z jej losami zostaje teraz ujęta w ramy uniwersytetu, znajduje w nim swą nową tożsamość. Nieprzypadkowo mówimy o „ujęciu w ramy”, a nie jedynie na przykład o „przejęciu” („na własność”) czy „przyjęciu” („na stan”), bo sercem sprawy nie jest procedura administracyjna. Uniwersytet jest „ramą” dla danej przestrzeni, to znaczy, że ona sama jest już wartością, tak jak cenny jest obraz wydobyty na światło właśnie przez ramę. Tak pisze Georg Simmel: „Właściwości oprawy wspierają i uzmysławiają wewnętrzną jedność obrazu”, co w przypadku uniwersytetu oznacza, iż wypełnia on swoją misję, działa dobrze, wtedy, gdy z jednej strony podkreśla walor przestrzeni, którą mu powierzono, z drugiej zaś – gdy stanowi przejście między nią a szerszym światem. Wszak rama, zdaniem Simmela, ma „pośredniczyć między dziełem sztuki a jego środowiskiem, oddzielając je i łącząc”, czego analogią w sferze historycznej „są starcia między indywiduum a społeczeństwem”. **Gdy mówimy, że uniwersytet ujmuje przestrzeń w ramy i w ten sposób zostaje ona mu powierzona, chcemy powiedzieć, że dokonuje on zasadniczego zwaloryzowania przestrzeni, wydobywa ją jako niezależny byt, niezależny los, jako swoiste „dzieło sztuki”.** Można zatem powiedzieć, że uniwersytet służy „swojej” przestrzeni, niż jedynie nią „dysponuje” czy „zarządza”.

8.

Gdy nieznaną fotograf utrwalil na kliszy budynki szpitala przy dzisiejszej ulicy Rudzkiej w Rybniku, zima musiała być dokuczliwa. Na niedatowanej fotografii, pochodzącej zapewne z czasów I wojny światowej śnieg zalega na placach szpitalnych i przejściach łączących poszczególne budowle. Ktoś ciągnie ciężkie sanie, których ładunku nie poznamy nigdy. Otulone śniegiem drzewa górują nad dachami szpitala, wskazując wyraźnie, że dzieło architekta stoi tam na tyle długo, aby bez żalu rozstać się z arogancją często właściwą budowlom człowieka i dzielić przestrzeń z tym, co naturalne. Na mapie Rybnika, którą wrocławska oficyna Maruschke i Berendt wydała w roku 1861 szpital opisany jako *Knappschaftslazareth* stoi już w miejscu dzisiaj powierzonym uniwersytetowi. Dochodziło się do niego tak, jak dzisiaj: idąc najpierw pierzeją Rynku, przy której stał Ratusz, a następnie – doszedłszy do rozgałęzienia dróg przy kościele zaznaczonym na mapie jako kościół św. Jana – kierując się

w lewo, nienazwaną na planie ulicą, która niebawem miała doprowadzić nas poza miasto. Nim dojdziemy do budynku szpitala, mapa powie nam, że znaleźliśmy się „pod”, a może „przed” miastem – *Vorstadt Zogrodniki*. To istotne, szpital bowiem i uniwersytet nawet gdy znajdują się w centrum miasta, stanowią w jakimś ważnym sensie przestrzeń „osobną”. Mają swój charakter: co oznacza (idę teraz ścieżką Paula Ricoeura), że mają swój „etos”, słowo oznaczające „los”, swój sposób bycia, ale także muszą być otwarte na to, co inne. Dlatego dobrze jest pamiętać to określenie z niemieckiego planu miasta sprzed 150 lat – **Uniwersytet to *Vorstadt*: jest za/przed murami i choć mocno wiąże się z miastem ma swój „charakter”, który jest niczym innym jak specyficzną więzią z przestrzenią i czasem miejsca.**

9.

Vorstadt jest wynikiem rezygnacji miasta (*Stadt*) z bezwarunkowego narzucenia swoich praw rozwoju danemu miejscu. Miasto pojawia się, wraz z nim jego administracja i zasady funkcjonowania, ale wciąż można jeszcze wycofać się z brukowanej ulicy na łąkę. Plan Rybnika z 1810 roku zapisuje nazwę interesującego nas traktu jako *Raudnergasse*, ale nie ma na niej jeszcze ani śladu szpitala, nie pojawia się określenie „przedmieście”, jakby jedynym celem szlaku było wskazanie kierunku – wychodzimy od Rynku i zmierzamy prosto na północ, w stronę Rud. Rynek ów musiał zresztą robić wrażenie, skoro ręcznie pisana z boku mapy legenda podaje, że mieści się na nim „solidny dwupiętrowy ratusz” (*massiven zweitstörigen Rathaus*). Miejsce przyszłego uniwersytetu wytyczone jest na trakcie od centrum miasta do odległej miejscowości: nie należy on bowiem ani do jednej, ani do drugiej przestrzeni. Jego powołaniem jest sprzyjać wspólnotie, ale pod żadnym pozorem nie być ograniczonym do jej zasad: uniwersytet należy do wspólnoty, ale jego najważniejszym sposobem manifestowania owej przynależności jest gotowość do krytycznego oglądu praw rządzących wspólnotą. **Uniwersytet jest „w” jakimś miejscu, ale przede wszystkim jest przy drodze prowadzącej „od-do”.**

10.

Gdy wejdziemy na dzisiejszy kampus (czyli teren Zespołu Szkół Wyższych w Rybniku), poruszamy się łagodnie opadającym zboczem w stronę w stronę nieco schowanej dzisiaj rzeki Nacyny. Zapewne kiedyś musiała odgrywać większą rolę w życiu tej okolicy, skoro na mapie z 1861 roku potok Młyński (*Mühlbach*) zaznaczony jest całkiem wyraźną linią, a rzeka dobitniej wpływała na charakter terenu, gdyż mapa wielokrotnie powtarza tam znak oznaczający tereny podmokłe i bagienne. Szpital, wspomniany już *Knappschaftslazareth*, położony jest więc w przestrzeni, której orientacja wyznaczona jest przez następujące okoliczności: (1) z jednej strony zwraca się ku miastu, z drugiej – ku otwartej przestrzeni prowadzącej dalej w świat; (2) pierwotny budynek szpitala odwraca się od ruchliwego zapewne traktu, jakby pragnąc pogрузić się w ciszy i spokoju, łączył działalność człowieka z porządkiem natury wyznaczonym nurtem rzeki i jej bagnistych brzegów. Co więcej, gdy spojrzeć na mapę, widać, że lecznica – jakby

odwracając się od ułatwionego, pospiesznego, mechanicznego kontaktu ze światem – została zlokalizowana biegunowo wobec linii kolejowej i dworca położonych na przeciwnym końcu miasta; (3) a przecież nie oznacza to lekceważenia czy nieobecności człowieka w tej przestrzeni: przeciwnie – jego praca niemal podchodzi pod drzwi szpitala – mapa podaje, że tuż obok budynku znajduje się odwiert przemysłowy, zapewne ślad poszukiwania węgla, głęboki na „166 stóp”. Specyfika genius loci uniwersytetu: napięcie między samotnością a zbiorowością, przemysłem i naturą, stabilną lokalizacją a wędrówką, do której uniwersytet przygotowuje swoich adeptów. Mówiąc za Paulem Ricoeurem: „nieustanny wysiłek interpretacji działania i siebie samego [w którym] trwa poszukiwanie zgodności między tym, co wydaje się nam najlepsze dla całokształtu naszego życia a preferencyjnymi wyborami, które rządzą naszymi praktykami”.

11.

W tym wszystkim wyczuwam pewien podstawowy i zastanawiający paradoks: solidność murów pruskiej budowli, funkcjonującej zapewne w rygorystycznym systemie zarządzeń administracyjnych i przepisów sanitarnych, zdaje się poświadczać to, co filozofowie nazywają kruchością dobra ludzkiego i ludzkiego działania. Niedatowana fotografia pocztówkowa zapewne z końca XIX wieku przedstawiająca *Knappschaft-Lazarett* zdaje się koncentrować wyłącznie na owym architektoniczno-administracyjnym wymiarze przestrzeni. Pod niebieskim, zapewne z lekka retuszowanym niebem, wznosi się już kilka budowli lecznicy, odgródzonych solidnym ceglany murem od ulicy. Dziwna jałowość tej przestrzeni uderzy obserwatora. Pewnie wczesna wiosna odpowiedzialna jest za to, że kilka młodych drzew pozbawionych jest liści, droga ledwie bita, jeszcze niebrukowana jest kompletnie sucha; jak okiem sięgnąć widać jedynie niebo, nagą ziemię i harmonijnie rozkładającą poziome i pionowe akcenty symfonię cegieł ogrodzenia i budynków. Anonimowy fotograf starannie wykadrował zdjęcie tak, aby podkreślało gazową latarnię na pierwszym planie. Owo źródło światła ma szczególną rolę do spełnienia: jest wysuniętą w stronę nagiej ziemi spełniającą rolę podróznego traktu forpocztą tego wszystkiego, co mieści się za murem – porządku, ładu, prawnego i sanitarnego rygoru ustanowionego światłem nauki i prawa. Zupełnie tak, jakby za murem kryła się republika uczonych, „jedynego społeczeństwa (Hannah Arendt przywołuje Jakuba Bronowskiego), jakie przetrwało zmiany przekonań i wszelkie konflikty bez rewolucji, nigdy nie zapominając o czci dla człowieka, którego przekonań już nie podziela”.

12.

Na innym, może nieco późniejszym zdjęciu, znajdujemy się po drugiej stronie ceglanego ogrodzenia. Wiosna obdarzyła już drzewa liśćmi, ale jedynym śladem ludzkiej obecności jest kilka słabo widocznych postaci na loggi szpitalnego budynku. A przecież lecznica musiała być pełna ruchu przychodzących i wychodzących pacjentów i lekarzy, odwiedzających i przywożących zaopatrzenie dostawców. Wygląda jednak jak zagadkowe miejsce, opustoszałe, niemal widmowe, w którym na pierwszym planie znów zoba-

czy my latarnię. Gdyby zapytać o powody takiego zobrazowania miejsca przy Raudergasse moglibyśmy spróbować odpowiedzieć następująco: być może nieobecność człowieka, owo dziwne opustoszenie miejsca podkreśla to, co mogło być marzeniem nauki – odosobnienie i żmudną, prowadzoną w izolacji od reszty świata pracę nad wynikami mającymi przeobrazić rzeczywistość. Faust w swojej pracowni przeżywa gorzko ów dylemat. Współcześnie podniesie go Hannah Arendt rozróżniając „działanie” i „fabrykację”. Ta ostatnia widzi się właśnie w izolacji i konfrontacji ze światem mającym zostać ulepszonym; „działanie” przeciwnie – jest do pomyślenia i przeprowadzenia tylko w relacjach z innymi osobami. „Działanie, w odróżnieniu od fabrykacji, nie jest możliwe w odosobnieniu; być odosobnionym znaczy być pozbawionym możliwości działania. Działanie i mowa potrzebują obecności innych w mniejszym stopniu, niż fabrykacja potrzebuje obecności przyrody dostarczającej jej tworzywa oraz świata, w którym umieści swój skończony produkt”.

13.

Spoglądając na te dwie fotografie powiedzielibyśmy, że uniwersytet wykorzystuje powierzoną mu przestrzeń tak, aby dojść do związku z nią nie jako miejscem „fabrykacji”, lecz „działania”. Zdjęcia kazały patrzeć na nie wierzyć, że praca człowieka polega w jakimś głębokim sensie na ustanawianiu enklaw, odgrodzonych od świata domen, w których da się pracować w izolacji i spokoju po to, aby przeniknąć sekrety praw rządzących rzeczywistością. „Nauki z konieczności pozostają po jednej stronie”, zauważał Martin Heidegger, chcąc wskazać na zarozumiałość nauki pojmowanej jako „fabrykacja” właśnie – zmierzanie do „wyników” w oderwaniu od zadawania zasadniczych pytań o naturę bytowania i myślenia. Pytania te muszą objąć próbę wnikięcia w dzieje przestrzeni (stąd i nasza, ledwie naszkicowana lektura dawnych fotografii), która jest niczym innym jak konstruowaniem narracji o dziejach, osobach i przedmiotach należących do danego miejsca. Ale opowieść ta nie może podpadać pod jakieś wyraźne wzorce, skończone modele widzenia świata. Jak pisze Arendt, gotowy wytwór fabrykacji da się ocenić natychmiastowo przez porównanie z wzorcem, natomiast „działanie ujawnia się w pełni temu, kto jest narratorem historii, czyli spojrzeniu wstecz, będącego spojrzeniem historyka, który rzeczywiście zawsze wie lepiej niż uczestnicy, czym to wszystko miało być”. Uniwersytet objaśnia powierzoną mu przestrzeń nie w porządku fabrykacji, lecz działania.

14.

Działanie to jest zorganizowane i uporządkowane, lecz porządek ten, chociaż z pewnością podlegający pewnej hierarchii (tradycyjnie to uniwersytety właśnie były niemal symbolem hierarchicznego porządkowania własnej struktury) sięga do innych, bardziej pierwotnych źródeł wspólnotowości. Przestrzeń uniwersytetu wywodzi się nie z tradycji władzy, lecz zapoczątkowywania. Oznacza to, że kierowanie uniwersyte-tem nie może polegać na narzucaniu przez zarządzających swej woli innym wyłącznie za pośrednictwem wydawania dyspozycji do wykonania. Uniwersytet „zapoczątkowuje”, to znaczy opowiada się za światem pojmowanym jako sekwencja pytań, na które

wszelkie odpowiedzi mają charakter tymczasowy i prowizoryczny. „Zapoczątkowywać” to tyle, co inicjować, znajdować się stale u początku, to z kolei zaś oznacza pokorę wobec wiedzy i świadomość, że proponowane odpowiedzi nie są nigdy „ukończone”. Może dlatego uniwersytet i jego przestrzeń stanowiła zawsze wyzwanie dla świata polityki; z jednej strony przyjmował on znaczenie uczelni, co wyrażał w tym, iż obdarzał je swoistą eksterytorialnością, lecz z drugiej strony traktował z wysoką podejrzliwością, bowiem mechanizm sprawowania władzy nad przestrzenią uniwersytetu nie może powielać mechanizmów charakterystycznych dla polityki.

15.

Różnica zdaje się polegać na tym, co Hannah Arendt określa mianem dychotomii między funkcją zapoczątkowywania a funkcją sprawowania władzy: „... rola tego, który zapoczątkowuje i przewodzi, kto był *primus inter pares* zmieniła się w rolę władcy; pierwotna zależność wzajemna działania, zależność tego, kto zapoczątkowuje i przewodzi, od pomocy innych oraz zależność od niego jego towarzyszy (...) rozszczepiła się na dwie zupełnie odmienne funkcje: funkcję wydawania rozkazów (...) i funkcję ich wykonywania...”. Jest więc świat, w którym relacje kształtują się w kategoriach „zapoczątkowywania” i „przewodzenia” oraz inny, gdzie dominuje kategoria „rozkazywania”. Wynika z tego, iż w pierwszym kręgu świat postrzegany jest jako ciągłość, bowiem „zapoczątkowywanie” nie oznacza absolutnego początku, zaczynania „od zera”, a już zupełnie nie ma nic wspólnego z burzeniem tego, co zastane. Rzeczywistość polityki opierająca się na nerwowych skokach, radykalnych zmianach, nierzadko wyraziście opisanych retoryką zerwania z przeszłością, militarnego z nią konfliktu i walki, kreuje przestrzeń statycznych obrazów z jasno wyznaczonymi funkcjami. Oto „stary”, zamknięty świat, jednoznacznie „zły”, i „nowy”, „nasz” rozpoczynający wszystko „od niczego”; dwa skamieniałe pejzaże pozbawione dynamiki. Uniwersytet opowiadając się za krytyczną oceną minionego, postrzega zmianę jako nieuniknione następowanie i mieszanie się kształtów i figur świata. W swej wizji przestrzeni uniwersytet jest z ducha Heraklitejskiego: „nie można wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki, nie można też chwycić żadnej śmiertelnej substancji w stałej kondycji, gdyż każda rozprasza się i skupia, kształtuje i rozplywa, zbliża i oddala”. Dlatego uniwersytet potrzebuje głębokiego związania z powierzonym mu miejscem, bowiem to za pośrednictwem wielu przenikających je historii uniwersytet tworzy swoją przestrzeń.

16.

„Eksterytorialność” uniwersytetu wspomniana przed chwilą oznacza jego niezależność i samorządność wypełnianą w poszanowaniu obowiązujących praw, ale mówiąc o eksterytorialności mamy przede wszystkim na myśli specyficzną więź łączącą uniwersytet z przestrzenią. W przypadku Uniwersytetu „eksterytorialność” oznacza coś odmiennego od tego znaczenia, które nadaje jej socjologia ponowoczesności; skupiając się na uchodźcach i ludziach *sans papiers* mówi, że ich wspólną cechą jest „eksterytorialność: ich nieprzynależność–do–miejsca, brak integralnego związku z przestrzenią, w której

przebywają”. Tymczasem uniwersytet jest „eksterytorialny”, gdyż relacja, w jaką wchodzi z przestrzenią nie opiera się na bezkrytycznym i bezrefleksyjnym poczuciu przynależności do jakiegoś wielkiego terytorium („państwo”, „naród”), lecz na pilnym słuchaniu historii miejsca, w którym uniwersytet uprawia swoją działalność i na przenoszeniu jej w sferę światowej nauki. **Poprzez miejsce uniwersytet trafia do świata;** dzięki miejscu uniwersytet może wyjść poza wąskie ograniczenia „terytorium”. Może zatem trafnie będzie powiedzieć, iż uniwersytet w ogóle nie powinien być „terytorialny”: refleksja naukowa nie jest właściwa tylko jakiemuś obszarowi, a ciasne i administracyjnie wydzielone strukturą organizacyjną dyscypliny (terytoria) badawcze nie służą nauce.

17.

Jeszcze jedno zdjęcie; zrobione pewnie znów w okolicy I wojny światowej, która była końcem dobrze znanego świata. Jak mówił w tym czasie angielski minister spraw zagranicznych Lord Grey, nad Europą gasły światła, które długo nie miały zapalić się. Można pomyśleć, iż to pielęgniarki (a może dopiero adeptki tego fachu?), wszystkie bowiem noszą te same szaliki, a jedna, być może dopiero, na moment zdjęcia oderwana od pracy – roboczy fartuch. Różnorodność poszczególnych ludzi, z których każdy zмага się ze swoim losem w którymś miejscu zawęzła się jednak w jeden splot. To miejsce w naszym przypadku to rybnicki szpital, w którym dzisiaj mieści się uniwersytet. Szpital to specyficzna przestrzeń: swą strukturą mieści się bez reszty w zamierzeniach i schemacie systemu i organizacji społeczeństwa (jest elementem generalnego projektu, który określamy sumarycznie jako „ochronę zdrowia”), ale jednocześnie to miejsce jakby „zewewnętrzne”, istniejące na „swoich prawach”, miejsce „zamknięte”, co więcej przestrzeń dotknięta „chorobą”, której wszyscy pragniemy uniknąć. **Między otwarciem i zamknięciem, między gestem wyłączenia a gestem opiekuńczości mieści się szpital.** Grupa pielęgniarek spogląda prosto w stronę anonimowego fotografa: przyjmują świat i wszystko to, co przynosi, jakby dając do zrozumienia, że skoro pojawiliśmy się na tym świecie, to możemy się w nim utrzymać tylko w postawie takiej otwartej gościnności. Píše Zygmunt Bauman: „Kant zwrócił uwagę na to, że planeta, którą zamieszkujemy ma kształt kuli (...): wszyscy przemieszczamy się po powierzchni owej kuli (...), dlatego też zawsze będziemy musieli żyć w sąsiedztwie i w towarzystwie innych ludzi”. Ale za plecami młodych kobiet widnieją zarysy szpitalnych budowli wraz z zamkniętymi w nich losami ludzi. To, co za nami i to, co przed nami płynnie przechodzi jedno w drugie. Uniwersytet jest miejscem takiego przejścia.

18.

Potrzeba więc cierpliwego namysłu i czasu, dla wykształcenia się przestrzeni uniwersytetu. *Knappschafts-Lazarett* mieścił się w Rybniku po przeciwnej stronie miasta niż dworzec kolejowy, będący symbolicznym znakiem, oddajmy głos Heideggerowi „powszechnohistorycznego przekazywania wszystkim wszystkiego”. Jeżeli uniwersytet pełni skutecznie swoją funkcję to dlatego właśnie, że nie czyni tego z perspektywy „powszechnohistorycznej”, ta bowiem nie jest w stanie przedstawić nam „przesłania

płynącego od świata”, lecz dostarcza nam objaśnień dotyczących poszczególnych wydarzeń, czy procesów nie rozpatrując ukrytych w nich kwestii podstawowych. To właśnie owa druga strona nauki, o której pisał filozof, utrzymując, że dotyczy ona zapytywania, czym jest myślenie. Moglibyśmy jednak też powiedzieć, że owa „druga strona” jest także pełnym cierpliwości i zrozumienia dociekaniem wszechstronnej historii powierzonego uniwersytetowi miejsca. Potrzeba do tego, jak powiedzieliśmy, czasu i cierpliwości, żadna droga „na skróty” nie poprowadzi nas w pożądanym kierunku. W jej wyniku znajdziemy się najwyżej w świecie, w którym „każda gazeta, magazyn ilustrowany, program radiowy oferują dzisiaj jednolitemu mniemaniu wszystko na ten sam sposób”, i w którym uniwersytet staje się jedynie instytucją.

19.

Ponieważ instytucjami rządzi zasada bezwzględnej skuteczności funkcjonowania oraz płynnego wpisywania się w skrótowy jednotorowy obraz rzeczywistości, przeto w takiej sytuacji uniwersytet staje w szeregu wszystkich tych organizacji, których zasadą jest przestrzeganie ekonomii zysku i strat. W ten sposób, gdy uniwersytet nie zadaje sobie trudu bycia powiérnikiem przestrzeni, gdy nie stara się zgłębiać swojego z nią związania staje się li tylko usługową placówką. Nie jest „Uniwersytetem Śląskim”, ale „Usiem”, a skrót ów jest nie tyle wyrazem przyjaznej zażyłości, co raczej symptomem uniku wobec odpowiedzialności za powierzóną przestrzeń. Tak pisał o tym Heidegger: „(...) mówią Państwo ‘uni’ zamiast ‘uniwersytet’. ‘Uni’ – to tak jak ‘kino’. (...) skrót ‘uni’ nie jest ani przypadkowy, ani nieszkodliwy (...). Pytanie tylko, *jaki* porządek zapowiada rozpowszechnienie się takiego sposobu mówienia. Być może jest to porządek, w który wciąga nas i w którym pozostawia to, co nam się wymyka”. Dzisiaj przestrzeń uniwersytetu jako powiérnika przestrzeni ma także i inne zadanie: przyczyniając się do rozwoju wspólnej europejskiej przestrzeni edukacyjnej znanej powszechnie pod nazwą „procesu bolońskiego”, uniwersytet musi strzec się przed tym, by presja politycznego wymiaru tego przedsięwzięcia nie sprowadziła myślenia do operowania wyłącznie w obszarze nakreślonym przez „granty” i „koszyki problemów ramowych”. Przestrzeń uniwersytetu służy Bolonii przez stawianie oporu temu, by refleksja przestawiła się wyłącznie na tory wyznaczone przez to, co Voldemar Tomusk nazywa „wielką produkcją wiedzy bolońskiej”.

20.

Jeśli przystaniemy na to, że przestrzeń uniwersytetu jest przestrzenią mu powierzóną, oznaczać to będzie, że na uniwersytecie spoczywa odpowiedzialność za to, aby „nie wymykały” mu się losy tego miejsca. Powróćmy jeszcze raz do wyjściowej tezy, iż przestrzeń uniwersytetu to miejsce kształtowania się obywatela. Lecz teraz po rozważeniu kwestii „miejsca” i „eks-terytorialności” zmodyfikujmy nasze założenie: uniwersytet kształtuje (raczej „kształtuje” w całej złożoności i nieprzewidywalności tego procesu, niż po prostu „kształci”) obywatela, lecz czyni to w przeświadczeniu, że bycie obywatelem to obowiązek krytycznego spojrzenia na własne „terytorium”, umiejętność

wyjścia poza nie, spojrzenia z zewnątrz, bycia ex, a także powinność wobec tych, którzy znaleźli się w jakimś sensie „poza” terytorium. Innymi słowy, rozważanie przestrzeni uniwersytetu prowadzi do przekonania, że cnoty obywatelskie są niezwykle istotne, lecz iż zakorzeniają się w powinnościach jakie człowiek ma wobec drugiego człowieka. Trawestując zdanie Zygmunta Baumana można rzec, że człowieczeństwo człowieka w ostatecznym rozrachunku potwierdza nie moc społeczna czy polityczna, nie siła „wielkiego terytorium”, lecz zdolność do powrotu do „małych opowieści”. ■

Pragnę podziękować Panu Jackowi Boratynowi z Galerii Historii Miasta w Jastrzębiu Zdroju oraz Panu doktorowi Bogdanowi Klochowi, dyrektorowi Muzeum w Rybniku za ofiarowany mi czas i rozmowę, która pozwoliła mi wiele zrozumieć z historii miejsce.

Przy pisaniu eseju wykorzystałem następujące prace:

H. Arendt: *Kondycja ludzka*. Przeł. A. Łagocka. Warszawa 2000.

Z. Bauman: *Razem osobno*. Przeł. T. Kunz. Kraków 2003.

P. Calame: *Towards a Responsible and Civic University*. In: *The Universities' Responsibilities to Society*. Eds. G. Neave. Amsterdam 2000.

H. A. Giroux: *Public Spaces, Private Lives. Beyond the Culture of Cynicism*. New York, Oxford 2001.

M. Heidegger: *Co zwie się myśleniem?* Przeł. J. Mizera. Warszawa 2000.

Heraklit: *Zdania*. Przeł. A. Czerniawski. Gdańsk 2005.

K. Jaspers: *Rozum i egzystencja. Nietzsche i chrześcijaństwo*. Przeł. Cz. Piecuch. Warszawa 1991.

J. Mrozkiewicz: *Zapomniany życiorys śląskiego powstańca. Mikołaja Witczaka jr. „Wspomnienia” i „Przyczynki”*. Jastrzębie Zdrój 2006.

M. Nussbaum: *The Fragility of Goodness*. Cambridge 2001.

Paul Ricoeur: *O sobie samym jako innym*. Przeł. B. Chelstowski. Warszawa 2003.

G. Simmel: *Most i drzwi*. Przeł. M. Łukasiewicz. Warszawa 2006.

V. Tomusk: *Melancholy and Power, Knowledge and Propaganda. Discussing the Contribution of the Bologna Process to Higher Education Research in Europe*. In: M. Pereyra (ed.): *El proceso de Bologna: la acreditacion de los sistemas europeos de ensenanza superior*. Revista Espanola de Educacion Comparada. Madrid 2006.

O przestrzeni znaczącej, rodzajach półmroku i tabace Pani Anastazji

Urodziłem się na obrzeżach miasta, na granicy nowych tendencji urbanistycznych – zostałem poczęty, tendencji kontrastujących beczelnie z resztkami wsi sielankowej, wsi autentycznej. Na linii granicznej się urodziłem, na której to, co nowe, młode i w przyszłość patrzące, słuchało się jeszcze tego co stare, wiekowe i w doświadczenie bogate.

Emigracja do miast kwitła, dzięki temu funkcjonowały obok mnie zamknięte, małe społeczności zbudowane z tych, którzy okrucieństwo swojego nowego, lepszego życia, żądni byli odnaleźć u stóp wielkiego miasta. W tym czasie byłem już i ja, a moim pierwszym ogromnym miastem było kilkanaście rzędów wysokopiennych, pnących się wokół wbitych w ziemię drewnianych palików, soczystych, czerwono krwistych pomidorów w ogrodzie moich rodziców.

Tak bywa, że jedni mają swoich profesorów, a inni, czy to z tego, czy z tamtego powodu szczęścia takiego nie doświadczyli. Młodego pisarza, Alberta Camusa do nauki zachęcał profesor Louis Germain podsuwając mu klasyczne dzieła literatury, by pod wpływem jednego z nich – *Żywoty Cezarów Swetoniusza* – mógł on napisać później *Kaligulę*. Moim profesorem był wszystko ogarniający wtedy jeszcze duch wsi polskiej, a literaturą drzwi domu otwarte – otwarte wprost na jaskrawo żółty, słoneczny, rozłożony na zielonym trawniku ogrodu kobierzec, po którym bosymi stopami, niczym po równych liniijkach tekstu zapisanego przez jednego z klasyków mogliśmy swobodnie się wybiegać. Miałem swoją, nie-metaforyczną, soczystą i pachnącą miejscowość, takie „stepy podkrakowskie”. Od lewej, do prawej. Wzdłuż i wszerz, kartka po kartce, metr po metr – a książka ta liczyła arów cztery.

Jak Litwin stałem, sam wobec ogromu „suchego oceanu”, moje akermiańskie stepy..., wokoło zachwyt potęgą przyrody, a potem zmrok zapada i szukam czegoś, co w tej przestrzeni byłoby mi choć odrobinę znajome; szmery jakieś – szmer, rodzi się więc nadzieja na to, że gdzieś w oddali zabrzmi mój własny „głos z Litwy”. Jest jednak tylko cisza i rozczarowanie, że „nikt nie woła” człowieka, nikt **humanus** nie przywołuje.

Doskonale pamiętam lata siedemdziesiąte, w których do miasta mojego krakowskiego, tego inkubała historii, miejsca rozwoju, perspektyw, miasta po prostu „lepszego życia” (prostsze, łatwiejsze, bez potu aż w takich ilościach), zaciągały się armie całe ludzi wsi pracującej, porzucając ojcowiznę swoją. Armie ludzi nie oglądających się za siebie ciągnęły, korowody nieograniczone swobodą wyboru, nauczone z nie swoich oczu korzystać; oczy ich patrzące w dal, nowy podkrakowski las z betonu i stali widziały.

I widzę znowu. Widzę ich w księżycowych krainach blokowisk, z których tylko dzieci się cieszyły, a dorośli cierpliwie na lepsze czasy czekali. Patrzą na te niewidoczne kawałki mózgow, na te alternatywne sztandary z napisem „Miasto (twoje) do modernizacji”.

Czasy były ciężkie, bo i przemysł ciężki był i nie do zniesienia. Ciężki był, nie do zniesienia, ale do modernizacji miasta niezbędny. Wyszedł ktoś z założenia, że to co nastąpi, to rezultat będzie tego, co wtedy było widać. A co widać było...? – pustynia nigdy ogrodów nie zrodzi, na niej tylko zjawiskami optycznymi oczy można podkarmić. Epatowano wizjonerską makabrą, doprowadzając do jej spowszednienia, by po wielu latach konkurs rozpisać: „Baw się tradycją i wygrywaj koronkowe figi” i wtedy wszystko już wystawiono na sprzedaż. Mury wystawiono na sprzedaż, ulice, zakątki, zakamarki wszystkie, jeśli tylko kto pieniądze miał, to z urzędu właścicielem ich stać się mógł i może do dzisiaj. Ogrodzono, pozamykano te nowe własności, odizolowano rzekę i wolne strumienie, w separatki i pod klucz oddano stare kamienice i kotłnię Wisły, a „nowi z wizją” koronkowe figi na prastarych murach bez wstydu i oglądania się za siebie porozwieszali.

I tak to wisi do dzisiaj. „Miasto – przestrzeń znacząca, miejsce destrukcji, szansa rozwoju...” – znalazłem tę myśl gdzieś, nie pamiętam już gdzie...

Charakter wzniesionego na bagnach miasta–kaprysu jest dla Mickiewiczowskiego Konrada przerażający. Zewnętrzny blichtr na mnie również wrażenia nie robi. Fundamentem mojego „Petersburga” też jest krew i cierpienie nie jednego człowieka, dlatego mówię o samotności wśród świeżo małpowanych budowli, dlatego mówię o samotności starych murów, wśród gromkich śpiewów i nieszczerých ulic współczesnych. W tym miejscu zatrzymam się na stronie Jerzego Pilcha, bo i oprzeć się pokusie nie mogę, a i okazja ku temu dostatecznie smakowitą mi się zdaje. Tytuł: „Rozpacz z powodu utraty furmanki”, a dalej co następuje: *Światowe agencje publikowały wówczas – książka jak powszechnie wiadomo ukazała się kilka lat po upadku komunizmu w Polsce – otóż światowe agencje publikowały wówczas fotografię młodego robotnika o twarzy rozjaśnionej wewnętrznym światłem, który wódką wyborową zrasza trawnik przed strajkującym przedsiębiorstwem. Ale rzecz jasna, gdy zwyciężyli, gdy przez dwa tygodnie wytrwali, natychmiast postanawiali tradycyjnie uczcić zwycięstwo i przez następnych kilka lat nie wiedzieli co to trzeźwość.*

Dzisiaj, te same jak i inne trawniki, zraszane są obficie uryną, płynem wytwarzanym przez młode nerki angielskich (choć nie tylko) weekendowych turystów z odzysku. Zraszane jak sadzę pod wpływem tej samej wódki wyborowej co wtedy.

Nie wolno mi „petersburszczyć”? – a ja wam mówię, że mi wolno. Nie wolno mi już szukać mojego „sioła carskiego”? – a ja wam mówię, że jeszcze zaczniecie na powrót szukać tego, co teraz tak skrętnie popiołami zasypywać chcecie. Ale zapytacie: Po co to, na co to komu? – odpowiem: Bo jeśli znajdzie się przechodzień na krakowskim rynku, lub jeśli zatrzyma się obok starej kamienicy, gdzie pośród krętych uliczek starego getta, jeśli w białą noc krakowską zatrzyma się wpół kroku, jeśli torbę swoją podróżną przewiesi z jednego na drugie ramię, by przechodnym krokiem opowiedzieć mi, że on to rozróżnia, trzy rodzaje półmroku, to zacieka mi diabelnie miejsce, z którego to przybył ów jegomość. Trzy rodzaje półmroku, a pierwszy jest taki, że gdy słońce chowa się poniżej horyzontu, na pierwszą, odpowiednią wysokość, to wtedy – jak opowie mi podróżny – świt lub zmierzch jest cywilny. Promienie słoneczne rozproszą się tak, że przy bezchmurnej pogodzie można czytać książkę. Słońce jednak schodzi niżej, jakby drugą nutę po osiągnięciu drugiego taktu chciało wybrzmieć w odpowiedniej, harmonijnej chwili. Wtedy dostrzec można zarysy świata – jak żeglarze, którzy w tym samym momencie jedynie kontury wybrzeży i postury innych statków widzą – wtedy następuje moment zmierzchu

lub świtu – notabene nautycznego – od żeglarza właśnie. Kiedy słońce w beznamietnym znużeniu, nie mrugając okiem, o trzeci punkt jak zawsze zahaczy, kiedy dopasuje się swym kształtem do trzeciego, jakby punktu kontrolnego słońca, tam poniżej horyzontu, to tak już jest zaaferowane swoją siłą i pozycją, że przeszkadza, bawiąc się zalotnie, w obserwacji ciał niebieskich tym, co z nad horyzontu patrzą mu za plecy. Zmierzch lub świt to jest astronomiczny, i jeśli dokończy podróży tę opowieść o trzech rodzajach półmroku, będę wiedział że miastem jego – Petersburg. A w Krakowie... burza; burza, cmy i jeden półmrok, gdzie ja jak ten Mincel z „Lalki” Bolesława Prusa, przy każdej okazji pod nos rozmówcy podstawiam swoje pochodzenie.

Ja ze światem moim, mieszczańskim, aż do wywołania torsji przyjaciółmi jesteśmy. Trudno mi mówić, bo w przyjaźni jestem dyskretny, czy też uważny – sam już tego nie wiem, tyle wspomnień, trudno coś wybrać.

Często temat przypadku wobec determinizmu u nas się pojawia. Determinizm zakłada, że zdarzenia są uwarunkowane poprzednimi zdarzeniami lub naturalnym porządkiem rzeczy, zakłada, że zgodnie z tym wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. *„Professorowie tworzą listę osób godnych uczczenia. Tam, gdzie bywali wielcy, zawisną tablice”* – przeczytałem kiedyś ten tytuł Katarzyny Janiszewskiej w Gazecie Krakowskiej. *„Lema i Modrzejewską trzeba upamiętnić. Goethego, Balzaca – jak najbardziej. Miłosz to oczywistość”* – pisała Janiszewska, a emisariusze woli mieszkańców miasta zastanawiali się, zapewne w nabożnym skupieniu będąc. *„Władze miasta podchwyciły pomysł. Chcemy stworzyć ogólnoeuropejski szlak uczonych, artystów, duchownych – mówi Renata Lisowska, rzecznik prezydenta. – Każdy naród ma znane postacie, zajmujące miejsce w historii, i lubi odnajdywać ich ślady w innych krajach. To dobra metoda na promocję miasta. A dla turystów nowy, ciekawszy sposób poznawania Krakowa”*.

Dzisiaj tam, gdzie przy Rynku mieszkał Goethe, a Miłosz przy ul. św. Sebastiana, dzisiaj w miejscach, które odwiedzał car Aleksander, gdzie przebywał król Karol XII, w miejscach pomazanych synonimem kultu, w miejscach tych, ja, wieczorami zamiast kwiatów, kiedy stoję pod pięknie wmurowanymi tablicami ducha, kiedy zatrzymam się nad tym „Ermitażem” naszym, krakowskim, co znajdę? Co znajdę oprócz niedopitych, porzuconych, półlitrowych szklanek z piwem, oprócz nadtluczonych linii szkła gastronomicznego specjalnie zaprojektowanego do picia koniaku... Królewskie „moje” sumienie, z tymi samymi co wtedy królewskimi ideami, trwa w przeświadczeniu o własnej wyjątkowości. „Lecz strzeżcie się wszyscy” – jak napisał Homer – „...strzeżcie się, którzy pozęglujecie w poszukiwaniu wyspy mgieł, bo czają się tam bestie, piekielne zjawy, co piją krew żywych ludzi jak wino”. To mgły wszystko, to odwet jest, za jałowym odwetem. Jeden bowiem jest Homer, który tutaj znów z piersią rozchelstaną, z włosami jak u pędzącego konia mówi, woła, szept jęklivy wydaje, że: „Zręczny kłamca trzyma się blisko prawdy, a tutaj wszystko jest pozorem”.

PRL w pewnym sensie był rajem na ziemi. Człowiek był gołodupcem, jabłka były reglamentowane, a jak nauczyłeś się odróżniać dobro od zła to władza uznawała cię za renegata i wszystko było wtedy dużo prostsze.

Dobrze Wincenty Lutosławski myślał: „Ten wróg zawsze najstraszniejszy, którego nigdzie spostrzec nie można”. No, bo niby, wszystko jest w porządku; kina, filmy, coraz to wszystko piękniejsze, z tym że dla mnie dobry obraz, to taki, który jest w stanie się wyświetlać

przez minimum dwie godziny, inaczej wydaje się dość mocno okrojona magmą z dna samego, z wrogiego i niedostępnego wulkanu się wydobywającą.

Wygląda to tak, jakby pilot, kapitan lotu w trakcie awarii wszystkich silników samolotu, oferował pasażerom po plasterku żółtego sera. Nie inaczej mi się to wszystko teraz zdaje, jak w znanej, antywojennej powieści czeskiego pisarza Jaroslava Haška. W niej to bohaterem jest Józef Szwejk z Królewskich Vinohradów w Pradze, sprzedawca psów i pucybut porucznika Łukasza. „Ja dwa piwa, a on dwie kiełbaski, gulasz, cztery bułki i pięć piw.” – każdego dnia mogę powiedzieć sobie to samo zakładając nogę na nogę w dobrowolnie wybranym przez siebie gastronomicznym przybytku, lecz słyszę i widzę bez przerwy wokoło mnie: „Ćwicz w areszcie, i tak stoi pusty. Zostaw tych klasyków, graj jakąś ludową piosenkę, słyszysz?”. Rum, kontuszkówka, wiśniówka, orzechówka, likier waniliowy – to tylko gorycz. „Słyszysz tego natrętnego duba? co on gada, wczoraj był głupim profesorkiem czeskiego, dziś udaje równego, nam oficerom”. Nerki w cieście, brzmi bestialsko, tak też smakuje. A smakuje wszystko, od peklowanych szynek i udźców cielőcych, po naszpikowane czosnkiem, brązowe z wierzchu, i śnieżnobiałe wewnątrz pieczone szlacheckie bażanty, które spotkać można jeszcze na kilku pod krakowskich łąkach. Lecz u mnie, tuż za mną, za moimi plecami, na ścianie oprawione płótno wisi, choć to plakat raczej – „Delicatessen”. Wisi i zerką dziarskim okiem, lekko jakby z góry, zezuje bezwstydnie na szufladę starego sekretarzyka. Pod nią, w plastycznym półmroku ukrywa się kubek pusty, mały i bez śmieci. Jasno tam nie ma, za to perspektywa inna. Widać, dla przykładu, w czym i jak się teraz chodzi. Wiedza zdobyta, wiedza zabita, któż teraz to może wiedzieć, jak będzie, skoro mało kto wie jak naprawdę jest teraz. Zarazy przecież nie ma, po ulicach nie szarżuje dżuma, a w szpitalach umierają przecież ludzie tylko naturalną śmiercią. Idealnie nie ma, ale żeby mi ktoś, mimochodem tylko powiedział (a mógłby i pokątnie też, nie dmuchnę mu przecież afromentem na wysokość czoła), żeby choć napomknął, że wytrzymać to wszystko do końca się da, to na to już moja pamięć zbyt mało wcześniej była majstrowana, bo takiego zdarzenia za Chiny Ludowe przypomnieć sobie nie mogę.

Nie sięgam już pamięcią, ale bałwochwalstwem. Zdarzają się emocje, owszem, zdarzają się i wszem i wobec w tym „krakowskim spleenie”, kiedy „wilgoć osiada na twarzach”; emocje są, tak gdzieś w okolicy kolan. Zdarzają się, kiedy „powietrze lepkie i gęste”, zdarzają się tam, gdzie „...ptak smętnie siedzi na drzewie...” zdarzają, bym mógł leniwie pióra wyglądać, a zdarzenia, muszą przysnąć się pamiętliwie, choć bez pamięci. Ja natomiast pamięć mam, a zbyt wiele znowu nie pamiętam. Tak to już jest, że pamięć, to pierwsze imię naszego sumienia, pamięć zapisana w starym kamieniu, na który ja ambiwalentnie patrzę, ambiwalentnie, by ambiwalencji nowych wąskich ulic nie dostrzeżać. Gulasz cztery bułki i pięć piw zamawiam, siadam, a za oknem, główną, wielką szybą pies na bruku staje. Widzę go, choć wiem, co powiedział mi kiedyś John Locke. A tak, powiedział mi, że „siła naszych przekonań nie dowodzi ich słuszności” – rozmawiał z nim ktoś jeszcze?

I znowu jest jak było, żaden „koci łeb” pod miękką skórą łapy psa tutaj się nie schowa. Obok mur lub klasztor jakiś. Lecz on, pies, on nie o tym, on z wiatru coś czyta. Stoi tak w napiętym ruchu, pyszczkiem jakby potakuje, jakby to co z sylab złożył, wiedział. Ja już w drewno krzesła, na oparciu się rozkładam, a z kawy srebrny dym nie tylko woń i nie

tylko po kątach uroczej restauracji dumnym machnięciem się rozplywa. Zabawiam się brukiem. Głowę odchylam, by coś więcej dostrzec i widzę rączkę małą, wyciągniętą, tak na wysokości kolan właśnie, naszych kolan, bo to dziecko małe. To z niej prosto, z rączki wyciągniętej tajny szyfr mała dziewczynka do szarości kundla i przybłądy tak ochotczo wysła. Wiem, co czuł ten pies, lecz co czuła ona, kiedy stając tam przed nim pozwalała koronkom sukienki pobawić się wiatrem. Krok za krokiem, by zostać krakowskim przy-padkiem.

Wiele jest spraw, które są dla mnie jak dżuma Alberta Camusa, gdzie zło (coś) pogrą-za miasto, pogrąża jak zaraza, którą w otwarte ramiona przyjmować musimy choć nikt już nad nami z biczem nakazu nie stoi. Dlaczego w wolności, która spadła na nas jak ochronny płaszcz za sprawą naszych ojców, dlaczego w wolności tej, nowe krakowskie „piwnice” już nie powstają..., a jeśli już, jeśli gdzieś, jeśli ktoś na pomysł w ekonomii swojej i w rachunkowych księgach swoich koncept jakiś odnajdzie, to po co tam, w tych nowych hybrydach i karykaturach ducha głupota tylko z nędzą kopuluje – parafrazując Nowickiego Jana naszego aktora. A kopuluje, głupota z nędznym duchem w miejscach, które kiedyś były by zapewne świątyniami, miejscami narodzin nowych słów, a nie ich uproszczeń. Dlaczego tylko wspólny wróg, ucisk czy niewola ducha jest w stanie wykrzesać te pierwiastki strzelistych idei, koncepcje, bazy, fundamenty, ogrody mickiewi-czowskiej Telimeny – niczego takiego już nie dostrzegam, za to coraz to nowe Telimeny, postaci komiczne, zdradzające miasto swoje jak grzyby po wilgotnej nocy powstają – ich świat nie jest moim, ograniczony, nie ma w nim miejsca na kategorie, napijmy się za to! Za twórczość Jana Jakuba Rousseau napijmy się w kawiarnianym półmroku. Powiedział nam, że przyczyną większości nieszczęść ludzkości jest cywilizacja. Można przyjąć to za pewnik, dać posłuch Rousseau, rację przyznać, że w środku wielkiego miasta zrodzić się może demon głupoty, zbytku i zatracenia bez miary. Tło bowiem zmienia się, a tłem naszym, dzisiaj, metropolia, potęga, wzrost i ten zewnętrzny blichtr przeklęty – rozrastamy się! Rozrastamy się bez względu na okoliczności; rozrastać się nie zawsze znaczy rosnąć, zapytam więc: my wyrastać czy rosnąć zamierzamy, budzić się z kolorowego przepychu, czy pięć w górę jak szlachetne rośliny, rzadkie ptaki – są nowe priorytety, jest nowy, pa-raliżujący w stopniu całkowitym i niedostrzegalnym tyran małego człowieka. Niektórzy uważają, że najlepszym lekarstwem na pojawiające się problemy jest powrót do tego, co pierwotne, naturalne. My zdołaliśmy wytworzyć swój pierwowzór, charakter zapach nawet, który z innymi porównać się nie da – i co nam dzisiaj z tego... Ostrzegano nas przed tym marazmem już od wieku XIX, w którym powieść Balzaka „Ojciec Goriot” wydaje się przykładem wystarczająco wybitnym, trafnym, choć oczywiście subiektywnym. Bo czyż nie jest tak i dzisiaj, tutaj, u mnie, w tym moim krakowskim sumieniu, że jedyną pasją stało się pomnażanie mamony. Kto widzi, kto patrzeć jeszcze potrafi, dostrzeże, zauważy ten, jakby samo kopiujący się motyw ludzkiej komedii zawartej już niestety nie tylko na stronach powieści Balzaka. Zatoczył już koło nad zamkiem królewskim hipno-tyczne swoje spojrzenie, zamarł indywidualizm murów, by w sieci ukochanych ulic co-raz to nowe teatralne historie Rastignacka wystawiać na rzecz tożsamości wyznawanych przez większość.

Nie wydaje mi się za konieczne schodzenie już niżej, jak Dostojewski, by dostrzec praw-dziwe oblicze mojego „Petersburga”. Spacerując przez mój krakowski „plac Sienny”.

Ja, jak i on – Raskolnikow, widzę ten lumpenproletariat, z odcisniętymi na twarzach, odcisniętymi sztuczną pieczęcią, z zapożyczonymi, urzędowymi uśmiechami na każdą okazję, z uśmiechami na martwych, pustych twarzach, smętnie wałęsających się w Galeriach bez wiszących na ścianach obrazów. Biedne, cierpiące, nowoczesne rodziny Mar-mieladowów są wszędzie i są nowoczesne, jakby wyższe w swoich cieniach rzucanych na nowej płycie Rynku, a ja przechodząc przez kręte uliczki starego miasta, przechodząc przez rynek i dalej, przechodząc bez względu na obraną prędkość przechodzenia, bez względu na charakter przechodzenia, bez względu na wszelkie okoliczności przechodzenia, zawsze przechodzę obok strategicznych punktów, rozdawczy ulotek mianowicie.

Z jednej strony nie powiem, jest to świetne miejsce, niebagatelny trakt, genialny tor przeszkód dla tych, którzy ćwiczą się w zdobywaniu kolejnej, nowej sprawności o nazwie asertywność. Po tygodniu przemierzania takiej trasy gwarantuję, jeśli się człowieku zepniesz w sobie, jeśli nie odpuścisz i żadnej ulotki wcisnąć sobie nie pozwolisz, gwarantuję, że drugim twoim imieniem będzie *asertywny*. Oczywiście, trzeba się uzbroić w nieprzepuszczalny strój, przez który nie będą przenikały do ciebie, ani widoki młodych, biednych studentów dorabiających sobie w ten sposób do ubożego w składniki odżywcze menu, ani tym bardziej – zdarza się coraz częściej – smętnie stojących w tych miejscach postaci, jak mniemam, matek i ojców dopiero co z pracy zwolnionych. Robić trzeba, jeść trzeba, ubrać dzieci trzeba, rachunki zapłacić trzeba, przed większymi długami ustrzec się należy jeśli starych z czego spłacać nie ma. Innymi słowy, na tym ostatecznym trakcie utrapienia, nie stoją już widmowe postaci. Stoją tam niezmiennie ci, którzy ostatecznie popadli w swoje nowe motto życiowe, a popadli w nie już na długie lata; ci mianowicie, którzy kolejne paciorki różańca pozamieniali na determinującą ich czas i istnienie nową litanię jednego słowa: *Potrzeba*.

Beneficjum przemian, dożywotnie prawo do czerpania dochodów – już jest, choć wystarczy, że wdarło się w bezkrytyczne umysły, w serca nie przygotowane do przeprowadzania zmian bez obracania w ruinę świątyń indywidualizmu. Powtórzę to znowu, i powtarzać będę „pókim tutaj jeszcze jest”, powiem, że był już przecież ten świat, był i u Prusa, było to wezwanie do umiaru, był jęk ostrzeżenia na kartach powieści. Ale kto teraz czyta powieści... Raz już przecież bankrutowały, waliły się w proch idee wobec nowych zjawisk wyznaczających rozwój nowego świata. Czy jedna śmierć nam nie wystarczy? W przeszłość przenoszą nas wspomnienia, a w przyszłość marzenia. A gdyby...

Przecież już epoka renesansu ukazywała się jako czas ludzi dostrzegających urodę życia, a mimo to paradowała w głowie Erazma z Rotterdamu gorzka myśl refleksji nad światem. Erazmistrzyczny bicz labiryntu skręca się sukcesywnie od starych, zatęchłych piwnic, aż po płaskie dachy nowych i starych murów miasta naszych sumień. Samotność zaczyna panoszyć się w buduarach myśli, echo balansuje między krzesłami teatrów, choć dworce dla wysiadających mamy zawsze pełne.

Uciekajcie wszyscy, krakowscy Montaigne'nowie w samotność, ukryjcie się w kruzgankach waszych ponurych zamków, niech „świat wyjdzie ze swych orbit”, niech Hamlet nie będzie „zmordowany”, niech dalej szuka na próżno drogi wyjścia. Bać się nie wolno twarzy tragicznego Morusa. Stańcie w szeregu poszukujący prawdy ludzkiego życia w przyszłości; bo gdzie jeśli nie tutaj, wśród tak wielu – zbyt wielu – zamków królewskich. Bądźcie, bo znowu jesteście więźniami; bądźcie nimi po tysiackroć; nie przedstawajcie

trwać w wilgotnych podziemiach, budowanych nam wszędzie epifanii braku zadośćuczynienia. Niech przy każdym z was, pod ścianą w mroku, obok kromki waszego chleba przysiądzie Campanella – twórcie miasto swoich, a nie obcych kaprysów. Idźcie własną drogą jak świat idzie – przecież jesteście światem... Bo czy nie jest przypadkiem tak, że kształt który widzę, ta nowa forma zasiadająca już teraz na nowych fotelach, w starych miejscach krakowskich kawiarni, czy nie jest ona początkiem dziejów bezwocnej pracy Penelopy; czy działania te wszystkie, podjęte, nowe, i wciąż do nas przybywające siłą nieugiętego tsunami, czy nie są bezsensu zagłuszającym pustkę życia i jałowe cierpienie. Herder stawiał sobie to pytanie, a Swift w satyrze pisał, że szlachetnie urodzone konie doskonalsze są niż cała społeczność ludzi. I gubi się na powrót wąska droga do autentycznego człowieczeństwa.

Nikt nie myśli, nie wie, znać, myśleć i wiedzieć jakoś nie chce, że są dzieła które powstają w krakowskich tramwajach. Czy to z braku miejsca, lub na odwrót: może to miejsca są właśnie dla czasów obecnych właściwe – miejsca dla dezertów, partyzantów z przymusu. Schaefferowskie Ariadny bowiem, spisywane są za plecami współpasażerów tego samego wagonu – „*Z miejsca gdzie mieszkam* – przyznał się Bogusław Schaeffer – *Z miejsca gdzie mieszkam do centrum Krakowa jest trzystaście przystanków. Trzystaście przystanków, trzystaście pomysłów. W tramwaju siedzę więc z notesem i komponuję podczas jazdy.*” Tam obecnie tworzy się nic, którą niewielu dzisiaj w dłoń uchwycić chce. Platońskie jaskinie na szynach ze stali, z oczami wlepionymi, gdzieś w plamy jakieś bezkształtne za brudną szybą – ścianą, skałą współczesnego świata. Bo dla duszy zbyt ciasno jest w tym tłoku – „Siebie całego, kim jestem w czterech ścianach domu swojego pozostawiam, kiedy w nowej rzeczywistości będę uczestniczył” – wydają się brzmieć każdego poranka niewidoczne manifesty dla uciemnionych na nowo. Puste torby i torebki, plecaki wypełnione po brzegi komunikacyjną pustką. Spontaniczny, schillerowski „ład serca” mamy przecież tak blisko, lecz nikt nie sięga, gapi się w ścianę na której ruch nowych cieni stara się wylapać, a jest ich wiele, żywotne są i coraz szybsze, rozsmazują się na odwróconym dnie wieczorowej pełnej butelki z kolorowego szkła, butelki, której wąska wylotowa szyjka nie każdego w wolny przestwór, z natury swej rzeczy będzie chciała precyzyjnie, uwolnić, wypuścić by każdy mógł, niczym Peszek w sztuce Schaeffera polatać wysoko nad niebieskim niebem szarej rzeczywistości.

Lecz natura miasta mojego sumienia wiem, że nie godzi się na to - Penetrować przestworza, badać niebios! – wywieszam ja, dzisiaj, mój własny transparent, „Scenariusz dla nie istniejącego lecz możliwego aktora instrumentalnego” jako ukryty solista na teatralnych uliczkach wszystkim zalecam odgrywać, by mógł powstać na nowo, świeży, czysty, pachnący pracą porannych piekarni „Scenariusz dla trzech...”, a stąd już nie daleko nam będzie do „Kwartetu dla czterech...” – dlaczego? Po co to wszystko? Odpowiadam: by mogła pojawić się „Zorza”.

Santaolalla, dwukrotny zdobywca Oscara (za muzykę do Babel i Tajemnica Brokeback Mountain), stworzył dokument Wiecznie żywe legendy tanga argentyńskiego, chcąc swoją wizję sztuki przedstawić, sztuki, która według niego wpływa na poczucie tożsamości. Zorganizowano koncert, ogromne przedsięwzięcie artystyczne, benefis, które konferansjer opatrzył następującą frazą „na wstępie”: *Proszę o chwilę ciszy. Dobry wieczór. Macedonio Fernandez mówił, że tango, to jedyne czego nie skonsultowaliśmy z Europą,*

to dużo więcej niż nostalgiczne echo. Są już na podium od 26 dekad i mają się dobrze, albo i lepiej, są jak wino dla tych którzy nie przeżyli apogeum tego gatunku, ale wyrosli z tangiem jako częścią krajobrazu muzycznego. Ci artyści stanowią większą część zasobów Del Rio Delaplata, Panie i Panowie..., witamy w Cafe de los Maestros! A nasze, choć jest bez wątpienia gdzie jest i czym obecnie ma być, to nasze polskie, krakowskie nie skonsultowane z Europą tego...

Mógłbym powiedzieć, że „kiedyś”, lub „czas jakiś już temu”. Tak, mógłbym używać formuł dla czasu, nie określając go ściśle i w sposób precyzyjny; mógłbym, bo tutaj, u mnie, tutaj „u nas”, na tych subiekcjach przestrzeni nieokreślonych, w ślimaczych myślach z nikąd płynących, na imaginacjach „żeromskich sandałów”, które „suną się z trudem ze stopnia na stopień...”, tutaj właśnie, w tym panoptikum chmielnego absyntu, młody, a nie uszkodzony jeszcze prawnik, z równie pijanym poetą i filozofem do piątej nad ranem ściśle ujęcia i precyzyjne sposoby dla czasu wymyśla, lecz na razie to nie ma i po co i nie ma dla kogo.

Między słowem a kontekstem – rzeka stara. Między słowami – Schaefferowska prawda, która nie potrafi milczeć. Ponad tym wszystkim splendor nieb wielu śródgwiezdnie góruje, lecz jeszcze bezlistnie, jakby bezcieleśnie, najbardziej prawdziwie. Tak rodzi się, ten w swoim rodzaju jedyny, mój świat konkretnego miejsca w mieście dla nowego słowa.

Tak wybudza się na nowo poezja czasu, która wiecznie się spóźnia. Odradza się materia poetyckich duchów bez premedytacji ukrytych w królewskich czakramach, zamyka się w granicach rodzimej prowincji architektura słów, odmładza się przerwanymi zmysłowych nieregularności spotkań, reprodukuje się zewnętrzzną wielogłosowością, wewnętrzną polifonią bólu patrzących na mnie kwadratowych światła proletariackiego osiedla. Patrząc na nie tak, jak i one na mnie z tej przeciwnej strony, mrugamy do siebie, przed sobą, nawzajem, sensem geometrii ukrywanych, mizernych fotonów, dialog każdej nocy w samotności okien prowadzimy. To właśnie jest chaos. To czas mojego miasta, czas sumienia, czas myśli miażdżenia. Czas myśli ujętych uściskami dłoni, zaklinających się nawzajem w szeptach i pokątnych spojrzeniach czekających na kolejny tramwaj. Czas myśli podupadłych gdzieś na dnie rozwibrowanej radości, myśli strzelających wysoko, w górę jak ptaki – radości, która nam nie jest na razie dostępną, bo do narodzin wciąż nam zbyt daleko.

Czas plastycznego powiązania, znaczenia i związku z niczym tutaj nie ma, choć to on sprawia, że czuję się Hansem Castorpem. Nim się ja, niby gdzieś wysoko w górach czuję, a wielkości wszystkie, również i czas, to zrozumiałe, określane są *a priori*. Rozmazują się na nieistniejących liniach granicznych, na liniach konstytutywnych czynników się rozplývają. Moralne kondycje współtwórców nowej cyganerii maczają się w tysiącu małych, kuchennych peerelowskich aneksach. Od czasu, do czasu kogoś wyrzucą, tak ot, za frak i za burtę, w pełnym świetle wieczornych latarni na plantach swojej własnej wyobraźni delikwent łąduje. Czasem jest tak, że inny ktoś, ten tramwaj codzienności chce porwać, a inny znowu wszystkim wmawia, że sam jest tramwajem. Tak to właśnie w „wielkiej płycie” zamknięte, atmosfery miejsca odciskają nowe reliefy. „Parada paradoksów” cytując Władysława Grzeszczyka. I zaczyna płynąć ta legenda o jednym słowie. Płynie, choć bez przerwy rwie się i rozdziela przerwanymi między pojedynczymi słowami. Płynie jednak trzema kroplami potu, lub dwoma – jak gorycz i śmiech. Bywa, że szumi tym nic nie

znaczącym szumem, takim zwykłym *szumem szumiącym* – niczego już wtedy nie słysząc, tylko w tle, cisza ukrywa się za kontekstem naszej starej rzeki. Ukrywa się nie tylko dlatego, by wyraźniej nauczyć się mówić – ukryła się by dokładniej słyszeć.

Moje wielkie niegdyś miasto nie wypowiada już wielkich słów. Zwykła codzienność stoi wstrzymana przez niewidzialne siły poliszynela; stoi w bezruchu z nogami grzęznącymi po kolana w strachu, w lęku którego nikt nie chce opisać, twierdząc, że potrzeba ku temu nie istnieje. Stanisław Lem w jednym z tak nielicznych i bezpośrednich wywiadów przyznał, że całym sobą zuje się pierwiastkiem krakowskiej przestrzeni, lecz sentymentem często powraca do rodzinnego Lwowa; dodał, że do kolebki swojej powrócić już nie chce, że nie zamierza odwiedzać nawet miejsca swojego dzieciństwa. Powód? – „...pozostał tam już tylko kamień...” – ludzie i ich mentalność odeszli bezpowrotnie, zaginęła, utonęła w początkach tworzącej się, całkiem nowej i bezwzględnej rzeczywistości skazanej na prostacką powierzchowność. Przeprogramowano wszystko, lecz należy przy tym zaznaczyć i położyć nacisk z pełną świadomością brzmienia na jakże sugestywne i obrazowe słowo „skazanej”. Po raz kolejny, wtórny i bezproduktywny, znowu czujemy się skazani, zatraceni już nie tylko w braku wolnego wyboru, lecz tym razem po mistrzowski omamieni jesteśmy syndromem ułudy wolności. Nie ma bowiem wolności w świecie korumpowanym już nie przez utopię, a skrajne zniewalanie człowieka, człowieka któremu po raz kolejny w dłoń wciśnięto sztandar jego własnej – jak mu się wydaje – mentalności, człowieka, który teraz dopiero nie potrafi krzyknąć, bo jak tu i na kogo, skoro każdy krzyk tęsknoty za prawdziwą wolnością zawsze będzie skierowany tylko przeciwko niemu samemu. Twoje życie w twoich rękach – mówią – Jesteś panem świata – mówią – Twoja przyszłość należy tylko do ciebie – mówią, mówią, karmiąc nas hasłami nowych ideologii plastikowego sukcesu.

Ale dlaczego ja o tym wszystkim piszę i po co, dla kogo na znudzenie większości się narażam bez przerwy? Mianowicie dlatego, że ten syndrom unicestwiającej się rzeczywistości nie tylko Lema Stanisława dotyczy. Również i ja pamiętam czas, w którym nie mury klimat rzeczywistości prawdziwej, rzeczywistości organicznej tworzyły, ale ludzie. Pamiętam bowiem, kiedy oseskiem będąc mieszkalem dom w dom, furtka w furtkę z pewną Panią Zofią Anastazją. Kobieta to była zacna, *bezdzienna, ale zacna* – jak w tamtych czasach zwykło się mówić. Kobieta w typie Hanna Bielicka. Lecz wytworność i nietuzinkowość wyrażała się, w jej przypadku, nie finezją noszonych majestatycznych kapeluszy, ale tym specyficznym zapachem osobistej aury, oraz wiecznym przesiadywaniem w oknie dużego pokoju. Pokoju tajemniczego, pełnego starych masywnych mebli i setek kolorowych bibelotów nieznanego pochodzenia. Wraz z mężem Tadeuszem, ogromnym sadem za domem i nowiusieńkim produktem fabryki samochodów małowitrazowych – marki Duży Fiat. Mieszkali zaraz naprzeciwko nas. Po drugiej stronie wąskiej uliczki mieszkali.

Ja nauki wtedy w szkole pobierałem na poziomie zaledwie podstawowym. Pobierałem je w szkole, która klasyczną, tak zwaną tysiąclatką była. Tak na marginesie, teraz to mogę stwierdzić, że już wtedy dostrzegałem sprzeczność tego tysiąca lat, które niby – jak mi się wtedy wydawało – przetrzymała moja pierwsza, prawdziwa szkoła publiczna. Sprzeczność dostrzegałem mianowicie, z jej nazbyt modernistyczną konstrukcją. Przez chwilę – pamiętam to uczucie doskonale – czułem się wyróżnionym, mogąc uczęszczać do tak wiekowej oświatowej placówki. Jednak rozwijający się światopogląd młodego

człowieka, wraz z upływającym czasem i zdobywaną wiedzą o otaczającym mnie świecie, szybko rozwił i w niwecz obrócił moje wyróżnienie. Dowiedziałem się bowiem – i to była wiedza, której uniknąć się nie dało – że..., jakie tam cholera tysiąc lat, bzdura. Po prostu. Władza, która pełna jeszcze była wtedy hasel i pięcioletnich planów, karmiła nimi w dalszym ciągu swoich robotników wymyślając sobie kolejny chwyt marketingowy, mobilizujący naszych ojców do budowania w szaleńczym tempie tysiąca, albo i dziesięciu milionów szkół pod jedną ideologiczną nazwą. A nazwa wszystkich w tym okresie, oprócz odpowiednio dobranych, zasłużonych patronów, dla wszystkich była jedna: Szkoła Tysiąclecia – choć po prostu mówiło się Tysiąclatka. Sztandar nad każdą powiewał ten sam. Ideowo powiewał. W tym właśnie okresie, przez pięć dni w tygodniu, zawsze tą samą drogą wracałem z mojej tysiącletniej szkoły. Uczyłem się dość dobrze, choć nie brakowało wpadek. Zawsze tą samą drogą i zawsze, siłą rzeczy, obok okna Pani Zofii Anastazji przejść musiałem. A w oknie, na pięknej, haftowanej różnokolorowymi nićmi, zawsze o tej samej porze czekała na mnie właśnie Pani Zofia Anastazja. Każdego dnia, jako pierwszy mówiłem Pani Zofii Anastazji „Dzień dobry”, by w odpowiedzi usłyszeć to samo: „Dzień dobry, dzień dobry, a piątka dzisiaj jest?” – pytała, opierając ramiona na bufiastej poduszce. Jak wspominałem, uczyłem się dobrze, a każdy stopień dokumentowany był w specjalnie do tego celu spreparowanym dzienniczku ucznia.

– Jest Pani Anastazjo, dzisiaj nawet dwie – odpowiadałem pospiesznie, zdając sobie dobrze sprawę z suplementu który za moment otrzymam.

– Pięknie, pięknie – zagadywała dalej Pani Zofia Anastazja – Poczekaj, podejdź do furtki, coś dla ciebie mam za te piękne stopnie. Po czym znikwała w swoim ogromnym pokoju, pozostawiając bogato haftowaną poduchę w pozycji „zaraz wracam”. Po krótkiej chwili, drzwi jej domu otwierały się z majestatycznym chrzęstem, a wychodząc, Pani Zofia Anastazja, zwracała się do mnie z łagodnym uśmiechem.

– Proszę, to dla ciebie, pięć złotych za dobrą piątkę.

Oczywiście, za każdą piątkę otrzymywałem osobne pięć złotych. I to było to pięć złotych, z tym właśnie, rybakiem trzymającym sieć. Monety otrzymywałem zawsze, lecz tylko za najwyższe stopnie. Pięć złotych za każda piątkę. I to było coś, bo rybak był pierwszorzędny.

Lecz pewnego dnia zabrakło w oknie Pani Anastazji. Nigdy więcej się w nim nie pojawiła, chociaż mąż jej, przez jakiś czas wystawiał jeszcze tę jej charakterystyczną poduchę. Jakby czekał, że choć raz jeszcze oprze na niej swoje przedramiona.

Pani Zofia Anastazja. Doskonale widzę ją nawet teraz. Tak jak w dniu, w którym pożegnała się z całą naszą ulicą. Uciekając wtedy od słów i zamaskowaną będąc uwagami o przeciwnym znaczeniu, cała uliczka wypełniła się zapachem tabaki *Mc. Chrystal's*, w bukiecie *Violet*.

– ... bo tabaka jest jak dom dla wszystkich – mawiała Pani Zofia – tabaka jest jak dom, w którym nie ma ścian, drzwi, ani dachu. Są za to okna, wielkie, monstrialne i słoneczne. Potem następowała krótka pauza poświęcona wnikliwej kontemplacji zewnętrznej natury oryginalnego owalnego blaszanego pudełeczka z tabaką. Pudełeczka, które mieszczą się idealnie w dłoni, zwracało uwagę finezyjnym wywijasem przy pierwszej literze *M*, i charakterystycznym, falistym, pięknym, pogrubionym na końcu, zamaszystym podkreśleniem nazwy firmy – *Chrystals*. Piękny był też motyw przewodni samego zapachu

i maleńki zatrzask samej tabakiery. Zawsze, gdy pytaliśmy Panią Anastazję o pochodzenie tego wonnego specyfiku, kiedy z zachwyty rozszerzonymi źrenicami, pytaliśmy: „A skąd to jest, a skąd pani ma to pudełeczko, pani Anastazjo?” – zawsze odpowiadała z głębokim namaszczeniem w głosie – „Z zza morza moje dziecko, zza morza”. ■

Powyższy esej Rafała Borchulskiego z Krakowa (ur. 1974) zwyciężył w tegorocznym Konkursie Eseistycznym „Moje miasto – mój świat”, zorganizowanym przez Rybnickie Centrum Kultury w ramach XL Rybnickich Dni Literatury.

ZESTAWIENIE BIBLIOGRAFICZNE DOTYCZACE RYBNICKICH DNI LITERATURY

1. IV Rybnickie Dni Literatury 10–13 października 1965: program / Zarząd Okręgowy Związku Zawodowego Górników, Klub Literacki „Kontakty” przy Domu Kult. Rybnickiej Fabryki Maszyn. [Rybnik, 1965].
2. V Rybnickie Dni Literatury: program / Zarząd Okręgowy Związku Zawodowego Górników, Klub Literacki „Kontakty” przy Domu Kultury Rybnickiej Fabryki Maszyn. [Rybnik, 1966].
3. Próba nazwania: wydano z okazji VI Rybnickich Dni Literatury. [Rybnik, 1967].
4. VII Rybnickie Dni Literatury: 6–10 października 1968. [Katowice, 1968].
5. Program VIII Rybnickich Dni Literatury: 28 września – 2 października 1969 r. / Zarząd Okręgowy Związku Zawodowego Górników, Klub Literacki „Kontakty” przy DK Rybnickiej Fabryki Maszyn. [Rybnik, 1969].
6. IX Rybnickie Dni Literatury. [Rybnik, 1970].
7. X Rybnickie Dni Literatury. [Rybnik, 1971].
8. XI Rybnicko-Wodzisławskie Dni Literatury: 24–27 września 1972 r. / Dom Kultury i Klub Literacki „Kontakty” przy Rybnickiej Fabryce Maszyn w Rybniku. [Rybnik, 1972]. Program wydano osobno.
9. XII Rybnicko-Wodzisławskie Dni Literatury: 30 września – 3 października 1973 r. / Dom Kultury i Klub Literacki „Kontakty” przy Rybnickiej Fabryce Maszyn w Rybniku. [Rybnik, 1973]. Program wydano osobno.
10. XIII Rybnicko-Wodzisławskie Dni Literatury: 6–9 października 1974 r. [Rybnik, 1974].
11. XIV Rybnickie Dni Literatury: 1–3 października 1983 r. / Społeczny Komitet Organizacyjny, Rybnicki Ośrodek Kultury, Teatr Ziemi Rybnickiej. [Racibórz, 1983].
12. XV Rybnickie Dni Literatury: 30 września – 3 października 1984 r. / Komitet Organizacyjny, Rybnicki Ośrodek Kultury. [Rybnik, 1984]. Program wydano osobno.
13. XVI Rybnickie Dni Literatury: 29 września – 2 października 1985 r. / oprac. wydaw. Wojciech Bronowski, Paweł Kielkowski, Krystyna Piasecka. [Racibórz, 1984].
14. XVII Rybnickie Dni Literatury: 28 września – 1 października 1986 r. / oprac. wydaw. Wojciech Bronowski, Paweł Kielkowski. [Rybnik, 1986].
15. XVIII Rybnickie Dni Literatury: 27–30 września 1987 r. / Komitet organizacyjny RDL oraz Teatr Ziemi Rybnickiej. Program wydano osobno.

16. XIX Rybnickie Dni Literatury: 24–28 września 1988 r. / Komitet organizacyjny RDL oraz Teatr Ziemi Rybnickiej. [Racibórz, 1988].
17. XX Rybnickie Dni Literatury: 30 września do 6 października 1989 r. / Komitet organizacyjny oraz Teatr Ziemi Rybnickiej. Program wydano osobno.
18. XXI Rybnickie Dni Literatury: 29 września – 4 października 1990 r.: program / Komitet Organizacyjny imprezy oraz Teatr Ziemi Rybnickiej. [Rybnik, 1990].
19. XXII Rybnickie Dni Literatury: 29 września – 6 października 1991 r. / Teatr Ziemi Rybnickiej, Rybnicki Ośrodek Kultury. [Żory].
20. XXIII Rybnickie Dni Literatury: 26 września – 4 października 1992 r. : program / Komitet Organizacyjny RDL, Teatr Ziemi Rybnickiej, Miejska Biblioteka Publiczna w Rybniku. [Rybnik].
21. XXIV Rybnickie Dni Literatury: 26 września – 3 października 1993 r.: program / Komitet Organizacyjny RDL, Teatr Ziemi Rybnickiej. [Rybnik].
22. Kiedy budzi się we mnie poeta: antologia wierszy drukowanych w gazecie „Chodzą Słuchy” wydawanej podczas Rybnickich Dni Literatury w latach 1986–1989: XXV Rybnickie Dni Literatury / wyb. tekst. Joanna Rusek, Piotr G. Skorupa. [Rybnik, 1994].
23. Uśmiech przez łzy – Rybnik, 1995. XXVI Rybnickie Dni Literatury: 18 września – 1 października 1995 r. Program wydano osobno.
24. XXVII Rybnickie Dni Literatury: 29 września – 6 października 1996 r. [Rybnik, 1996].
25. XXVIII Rybnickie Dni Literatury: pod patronatem Prezydenta Miasta Rybnika.
26. XXX Rybnickie Dni Literatury.
27. XXXII Rybnickie Dni Literatury: pod patronatem Prezydenta Miasta Rybnika: 7 – 14 października 2001 r. / Rybnickie Centrum Kultury, Miejska Biblioteka Publiczna w Rybniku.
28. XXXIII Rybnickie Dni Literatury: pod patronatem Prezydenta Miasta Rybnika: 6 – 13 października 2002 r.
29. XXXIV Rybnickie Dni Literatury: pod patronatem Prezydenta Miasta Rybnika: 17 – 26 października 2003 r.
30. XXXVI Rybnickie Dni Literatury: pod patronatem Prezydenta Miasta Rybnika: 16 – 23 października 2005 r.

Opracowały
Magdalena Achtelik
Marta Kowalewska-Osada



Migawki z VII Rybnickich Dni Literatury (1968 r.).

An aerial photograph of a historic town square, likely in Poland, featuring a prominent grid-patterned cobblestone pavement. Several large, colorful umbrellas (white with red patterns, red, and green) are set up in the square, possibly for a market or festival. The square is surrounded by multi-story historic buildings with varied rooflines and colors. The lighting suggests late afternoon or early morning, with long shadows and warm tones.

[...] Targi w miasteczku odbywają się w każdą środę i oto pewnego dnia, dokładniej mówiąc pewnego wtorkowego wieczoru, ojciec zapowiedział, że jutro o świcie wybierzemy się w drogę z naszą krzyworogą krową, którą zdążył już przygotować do podróży.[...] Gdy dotarliśmy do otoczonej parkiem targowicy, było już tam pełno ludzi i zwierząt. Zdawało się, że na tym grząskim placu, gdzie błoto i gnój sięgały powyżej kostek, zebrały się wszystkie krowy z całego świata i wszystkie konie, świnie, buhaje, kozy i owce – a jeśli nie z całego świata, to w każdym razie z całego powiatu. Miasteczko było pełne rżenia i ryczenia, wieprze darły się wniebogłosy, kozy meczały wtórowały im owce. Jak w Arce Noego. Wiele lat później miałem możliwość znaleźć się w najludniejszych dzielnicach Wiednia, Paryża i Londynu – nic nie zrobiło na mnie tak oszałamiającego wrażenia jak owo zbiorowisko zwierząt i ludzi na Wielkim Placu Targowym w zaczarowanym Małym Miasteczku, gdzie mój ojciec sprzedawał przed laty krowę o brzydkich rogach.

Fragment opowiadania Kalmana Segala
pt. „Przygoda w miasteczku” (1965)